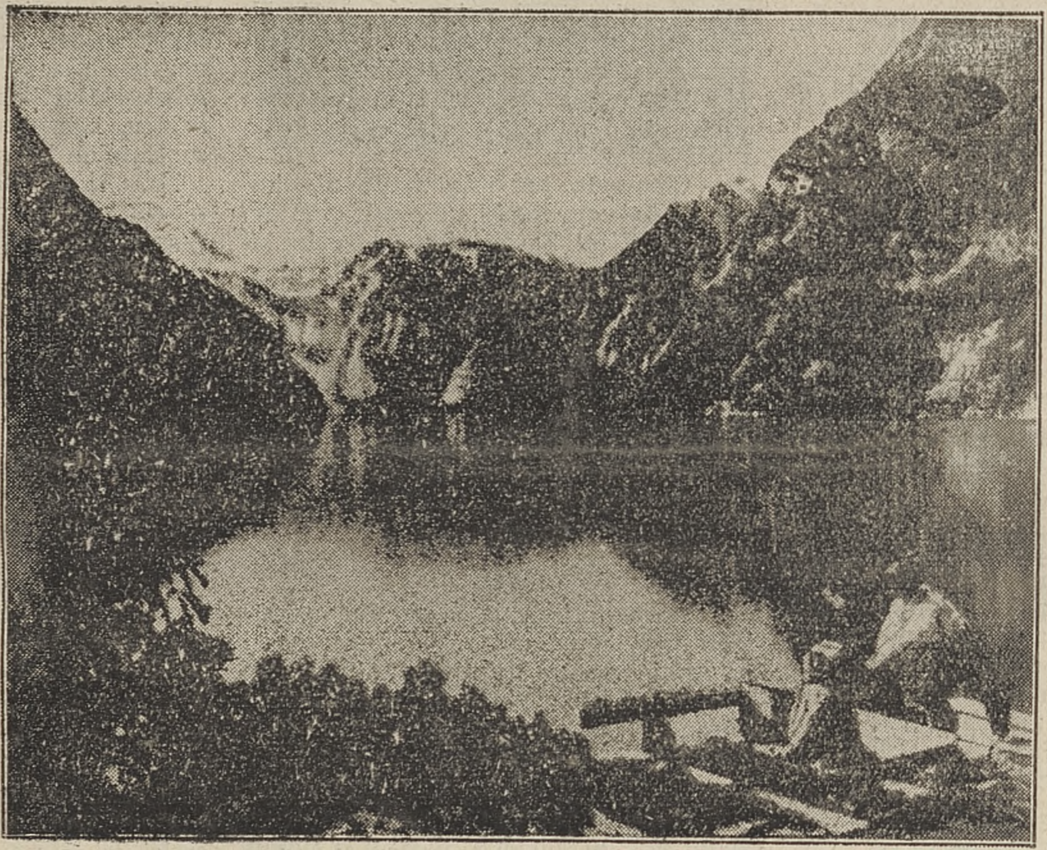
Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 20 października 1935 r. Nr. 42



Taki spokój wkoło...

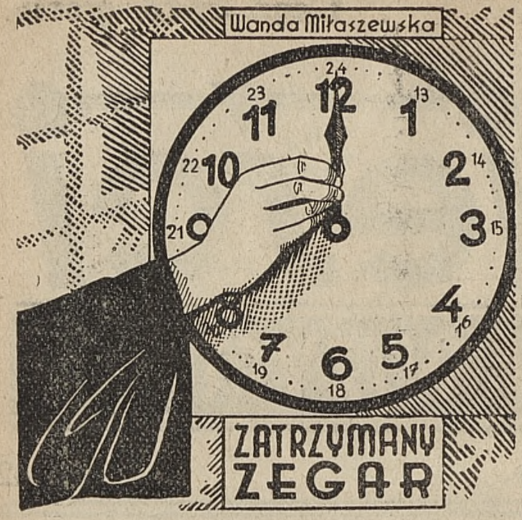
Taki spokój wkoło... Toń wody gładka, cicha
Odbija przecudny, radosny błękit nieba — —
Tylko-by czerpać z niej, jakby z szczęścia kielicha...

Taki spokój wkoło... Rozzłaca słońce góry,
Beztrosko malując na zboczach arabeski,
By ożywić ciemne skalne kontury.

Taki spokój wkoło... jakby w tem gór zakolu
Mieścił się świat cały, lecz nowy jakiś, inny —
Bez chaosu krzyków, nawoływań, skarg, bólu...

Taki spokój wkoło... Poza temi górami
Nic chyba już niema: niezmącona wkrąg cisza
Napełnia nam dusze ukojnemi tonami...

Danuta Wyrybkowska.



POWIEŚĆ (3)

— Smakuje... — odparłam prędko, przestraszona tym nagłym zwrotem ku mnie.

— Ot, widzisz, mała ma rację, — ozwała się znowu do mamy i uderzyła trzy razy laską w podłogę. — Ja ci powiadam, że mała ma rację.

Pogłaskała mię szorstkim ruchem po głowie i rzekła uprzejmiej:

— No, to idź do kredensu, niech ci Balbina da miodu na spodeczek. Chleb z miodem jeszcze smaczniejszy, niż suchy, prawda?

— Prawda... — szepnęłam jeszcze ciszej, składając nici do koszyka i wstając posłusznie. Wysunęłam się też natychmiast z pokoju i pędem pobiegłam do Balbiny, ale jeszcze za drzwiami dobiegło mię gderanie straszliwej cioci:

— Bogubyś lepiej dziękowała, zamiast chlipać...

Biedna moja mama! Dopiero znacznie później zrozumiałam, ile znosiła przykrości, upokorzeń, jedynie przez wzgląd na mnie. Cały trzyletni jej pobyt w Klimontowcach był jednem pasmem udręczeń. Pomijała milczeniem tysiączne przytyki, zwykły objaw złego humoru ciotki Eufemji, bo jednak u niej znalazła pomoc i opiekę w chwili, gdy los porzucił ją, bezradną i bardzo nieszczęśliwą, w samem sercu wielkiego miasta, pełnego obcych i obojętnych ludzi. „Ciotka rodu“ pomimo wszystko, była jedyną istotą bliską i kochała nas po swojemu.

Biedna mama... Trafiłyśmy na bardzo zły okres w Klimontowcach. Wkrótce po nowym roku Emilka zaręczyła się, ku zdumieniu wszystkich, ze swoim niedalekim kuzynem, którego znała od najwcześniejszych lat. „Ciotka rodu“, na swój sposób kochająca rodzinę i przywiązana równie serdecznie do Emilki, jak do Janusza Klimontowskiego, była przeciwna temu związkowi. Początkowo zagroziła nawet, że wydziedziczy Janusza na korzyść dalszych krewnych, a Emilce, jako niepełnoletniej, przyobiecała, że ją osadzi w klasztorze, aż do chwili, w której „panna nabierze rozumu“ — wkońcu jednak machnęła ręką, stuknęła laską i rzekła z gniewem:

— A to sobie róbcie, co chcecie! Pobierzcie się, chociażby jutro! To podobno nawet w modzie teraz: hop-cap do ślubu, a potem gwałt o rozwód! Ja umywam ręce.

Od tej chwili zapanowała względna cisza w domu, to znaczy, że „ciotka rodu“ nie sprzeciwiała się otwarcie i nie starała się przekonać młodych, natomiast na każdym kroku dogadywała Emilce:

— Panna wybiera się zamąż, a co panna masz w głowie? Fatałaszki. Ty pewnie nawet jajecznicy usmażyć nie potrafisz. Ciekawam, czego was też uczyli w tym Krakowie. Słodkie oczy do chłopców robić? To i tak sama zawsze umiałaś, kochanko. Dobra z ciebie żona będzie dla Janusza! Włosy sobie na czole stroszyć umiesz, że istne paskudztwo, a nawet i nieprzyzwoitość, ale skarpetki zacerować mężowi, to ani — ani, hę?

Emilka najmniej sobie robiła z pogderywania starej, astmatycznej jejmości. Miała tę broń ońń, ten pancerz czarodziejski, który daleko gorsze ciosy wytrzymać potrafi: miała młodość. Uśmiechała się z nieopisanym wdziękiem ośmnastoletniej, szczęśliwej dziewczyny, uśmiechała się beztrosko i głaszcząc ciotkę po tłustych policzkach, mówiła z przymileniem:

— Ciocia to już mię wcale nie kocha... Ani odrobinki. Nawet tyle, co Acana... Ejże! Zawsze jestem trochę od Acana ładniejsza i charakter mam przecież lepszy, to ciocia musi przyznać! Ciociu... ciotuchno! Czy ja naprawdę jestem takie nic-dobrego, gorzej Acana?

— Ty jesteś pustak! Fiu-fiu masz w głowie, nic więcej! — mruknęła gniewnie ciotka Eufemja i stukając laską wychodziła z pokoju, by się przypadkiem nie rozczulić przy świadkach nad tą upartą dziewczyną.

VII.

Zabawne to były, choć nie dla wszystkich przyjemne czasy. Wszyscy mieli za swoje, ściślej mówiąc za to, że się Janusz i Emilka postanowili pobrać na wiosnę. Ciotka Eufemja, niezwykle ruchliwa, dreptała ustawicznie po całym domu, łając każdego o byle drobnostkę. Nawet Acanowi się czasem dostało, że po piętach depcze i suknię pyskiem oślinia.

Wszystko jej było niewsmak, wszystko źle, na wszystko kręciła głową. Zapowiedziała wprawdzie uroczyście, że o wyprawie słowa słyszeć nie chce, że palcem o palec nie stuknie:

— Niech Emilka sama rozporządza, skoro bez mojej rady, a nawet wbrew radom, rozporządziła już własną przyszłością. Żebyście pamiętali, — wołała gniewnie — że ja o niczem nie chcę wiedzieć, co tu się teraz wyrabia! Nic nie wiem, nic nie widzę!

Śliczne, stare koronki, których miała cały stos, schowała w okutym kufrze, zastępującym kasę ogniotrwałą i zamykając z hałasem zardzewiałe wieko, oznajmiła:

— Niech się Emilka nie łudzi, że te koronki ode mnie na ślubny prezent dostanie. Miało tak być, ale nie będzie. Zapiszę je w testamencie komu innemu, naprzykład Krysi, o ile nauczy się słuchać starszych. Hę, figo, będziesz słuchała ciotki we wszystkiem, co?

— Będę... — wyjąkałam, nic zgoła nie rozumiejąc.

— No to jazda, ruszaj na podwórz, zdrowszego tam rozumu nabędziesz, niż patrząc na taki rozgardjasz. O Boże, — biadała — spokojnego kąta w domu niema, całe mieszkanie do góry nogami poprzewracali!

Była to nieprawda, ponieważ szwalnię urządzono w starej garderobie, na samym końcu domu i terkot maszyn nikomu spokoju nie zamącał. Tam sposobiono calutką wyprawę. Przy długim stole na kozłach, dwie szwaczki, sprowadzone z miasteczka krajały, pasowały i szyły całemi dniami pod światłem kierownictwem pani Józefy Rymszyny, zwanej ogólnie „ciocią Józią“, choć niczyją ciotką w tym domu nie była. Łączyło ją jakieś dalekie pokrewieństwo, a bardziej dawna, serdeczna zażyłość z ciotką Eufemją. Mieszkała w Klimontowcach, ponieważ mąż jej pracował jako inżynier, gdzieś w głębi Rosji, a oboje pragnęli kształcić dzieci w kraju. Miała dwóch synów, z których starszy uczył się w Warszawie, a młodszy, Adaś, zbijał bąki po polach i na dziedzińcu, korzystając jak tylko się dało, z ostatnich lat swobody.

Ta, „ciocia Józia“ była to kobietka niewielkiego wzrostu, szczupła, podówczas może trzydziestokilkoletnia. Zabawny kontrast stanowiła jej sucha, przedwcześnie zestarzała twarz z niezwykle żywym szafirem oczu, patrzących niemal dziecięco. Mówiła śpiewnie, ciągnąc z litewska i czasem, — ona jedyna — zdobywała się na odwagę stawienia czoła „ciotce rodu“. Cichym, nieco jęczącym tonem wypowiadała własne zdanie, plącząc przypadki i nieraz bardzo zabawnie przekręcając słowa.

Pomiędzy arbitralną damą a potulną napozór panią Rymszyną dochodziło w owych czasach do żywych dyskusyj na temat bliskiego ślubu Emilki.

— Taż powiedz, kochanieńka, — zawodziła „ciocia Józia“ pokornym tonem — nacóż takie objekcje robić? Taż wiadomo, młodzi — to i pokochawszy się, a pokochawszy, to i pobrać się radzi, wiadomo. Taż to żaden dziw, ani zgorszenie... Żeby ot tak, bez ślubu... Ale u nich wszystko po porządku idzie, jak należy... A ty sama niedawno mówiła, Femciu: Emilci pora będzie zamąż iść, lat już dochodzi...

— Ale nie za Janusza. Czy wyście wszyscy powarjowali? Oczu chyba nie macie!... Co to za małżeństwo z nich będzie! Ani wiekiem dobrani, bo Janusz smarkacz i świszczypała, ani to dla Emilki stosowna partja, bo Janusz goły, a w dodatku — krewni.

— Taż Femciu, sama ciągle powtarzasz, że po najdłuższem twem życiu Janusz Klimontowce dostanie. A i Emilka swojego przecie ma dość...

— Głupiaś waćpani i koniec! Majątek przepisany na moje imię przez Hipolita. Dam, komu zechcę. Janusz młokos, uczy się u mnie administrować i tyle. A cóż to, śmierci mojej będzie wyczekiwał, żeby się tu z żoneczką rozgościć? — wołała zirytowana ciotka, stukając mocniej laską.

— Jak go wydziedziczysz, duszeńko, — mitygowała anielskim tonem pani Rymszyna — to pójdą na Emilcine. Albo iż Romaniszek mało? Takie nawet u nich postanowienie jest... Taż co...

Stara dama nie posiadała się ze złości:

— Postanowienie? Właśnie! Powinni to robić, co ja im każę! Powinni słuchać! A ja właśnie Janusza nie puszczę! Niech w Klimontowcach siedzi, a nie — to wydziedziczę! — unosiła się coraz bardziej. — Jutro zaraz testament podrę i Janusz figę zobaczy!

— A, duszko, jak nowy pisać będziesz, nie zapominaj o moich chłopcach... Zawszeć to prawie tak, jak krewni... — śpiewnym akcentem dogadywała ciocia Józia, doprowadzając otyłą damę do pasji.

Zczasem uspokoiła się nieco ciotka Eufemja, pozornie pogodziła z faktami, ale chodziła chmurna, bardziej, niż zwykle opryskliwa, szukająca powodu do wydziwiań i krytyki. Włócząc się ustawicznie po całym domu, pokaszlując i sapiąc gniewnie, zaglądała raz po raz do starej garderoby, przypatrywała się robocie szwaczek, kręciła głową z niezadowoleniem:

— Na co tyle tych łaszków, chciałabym wiedzieć! Czy to Emilka za księcia idzie, że takie wymyślne monogramy na poszewkach stawiacie?

Lub też, unosząc pod światło istne arcydzieło rąk mojej matki, wołała z oburzeniem:

— Co? To ma być koszula? Ta kusajdka? W głowach wam się do reszty poprzewracało! Za moich czasów koszule były pod samą szyję, z mankietami, ze szlarką. Wstydu nie ma Emilka, jeżeli to dziurawe cudactwo na siebie włoży...

I trzęsąc tłustym podbródkiem, skończyła uroczyście:

— Dawniej panny nie znały, co to madapolam. Wszystko miały z płótna i moralność była lepsza!

Ruszała dalej z godnością, stukając kijem i nawołując Acana, który się gdzieś w stosie gałganków zaplątał. Na progu przystanęła jeszcze:

— Szyjcie to, szyjcie! Niech paraduje pani dziedziczka na swoich Romaniszkach w takiej bieliźnie! Niech gorszy czeladź!

— Ależ, ciociu... Przecież czeladź tego widzieć nie będzie! — protestowała Emilka, która od dłuższej chwili dusiła się wprost ze śmiechu i zakrywała usta obu rękami, by głośno nie parsknąć.

— Bóg wszystko widzi — surowo odrzekła stara jejmość mierząc ją groźnem spojrzeniem. — Jesteś nietylko uparta dziewczyna, ale oprócz tego zepsuta do szpiku kości. Oto są skutki nowoczesnego wychowania panien! W głowie pstro, poprzewracało się od tych mądrości, które czerpiecie z książek bezbożnych, a wstydu, skromności niewieściej ani za grosz. Ładne pokolenie!

— Biedna ciocia! — szepnęła po jej odejściu Emilka z tak komicznem współczuciem w głosie, że wszyscy, nie wyłączając dwóch szwaczek, zachichotali. — Koszule pod samą szyję i mankiety ze szlarką... Co za brzydactwo! Boże, dzięki ci, że żyję w czasach nieco



Zima za pasem, a więc czas pomyśleć o zgromadzeniu opału. Przezorność wieśniaczek pod tym względem jest wielka, jak to widzimy na zdjęciu

późniejszych, niż te, które wypadły na młodość cioci Femci!

Nadeszły jednak chwile, w których Emilka gorąco żałowała nietyle niemodnych szlarek i koszul z grubego płótna, ile właśnie owej ciotki, gderliwej i nieznośnej, ale kochającej ją całą mocą starego serca, jak mało kto inny na świecie...

VIII.

Panna Leonka (nazywa się Mrozowiczówna) powiedziała dziś to proste zdanie, które mi dziwnie utkwiło w pamięci:

— Miałam iść zamąż, ale się rozeszło...

Panna Leonka lubi gawędzić. Przychodzi do mnie zwykle w popołudniowych godzinach, skoro się tylko upora z obiadem u „głuchej, jak pień" siostry proboszcza. Przychodzi i zawsze mię na wstępie przeprasza:

— Bo może ja pani przeszkadzam? Pani to pewno tak, z grzeczności mówi, że nie, a ja się narzucam...

— Ależ co znowu! Proszę, niech pani siada.

— Bo widzi pani, — dodaje wówczas panna Leonka, sadowiąc się na krześle — tak mi tu jakoś nijako... Ani z kim pogadać, ani co. A jak do pani choć ciaż na krótko wpadnę, to zaraz cały dzień prędzej schodzi...

I zaczynają się gawędy, a raczej zwierzenia bez końca.

Czem już ta panna Leonka nie miała zamiaru zostać w czasie krótkiego swego żywota! Najpierw — rodzice jej nie byle kto. Mająteczek pod Wilnem mieli. Nieduży, ale zawsze. Chowała się więc na wsi i marzyła, że jak dorośnie, to się do gospodarstwa weźmie, hodowlę drobiu zaprowadzi na dużą skalę, warzywnik. Bo to pod miastem samem, więc o zbyt nie trudno. Ale cóż! Przyszły jakieś powikłania pieniężne, kłopoty — ciężkie czasy, jednem słowem. Rodzice domek i ziemię sprzedali, przenieśli się do Wilna. Tam ojciec sklep otworzył. Też znowu nie bylejaki: galanteryjny. A ona uczyła się u Nazaretanek. I wtedy właśnie zakonnicą chciała zostać. Koniecznie. Rodzicom nie powiedziała ani słowa, ale już ułożyła sobie z jedną siostrą, z siostrą Kordulą, że jak tylko nauki skończy, do nowicjatu „postąpi". Ech, wywietrzało jej to prędko z głowy. Nie miała i szesnastu lat skończonych, jak wywietrzało doszczętu.

Przyszedł raz młody człowiek do sklepu po spinki (bo i spinki mieli). Akurat siedziała za ladą. Popatrzył na nią, zagadał coś o pogodzie. Odpowiedziała grzecznie i postawiła przed nim pudełko.

— Niech pani sama wybierze, — uśmiechnął się.

— A skądże ja mogę wiedzieć, jakich pan sobie życzy? — spytała zdziwiona, ale zrobiło jej się przyjemnie na sercu.

— Już które panienka uzna za dobre, te wezmę.

Wybrała prędko ładną parę z perłowej masy, czerwieniąc się jak burak, niewiedzieć czemu. Pomyliła się potem w cenie, powiedziała o połowę taniej i jakoś strasznie niezgrabnie szło jej z zawijaniem paczki. Znów się uśmiechnął.

— Ja pani pomogę, — rzekł. Zmiął papierek byle jak i wsunął do kieszeni.

— No, to tymczasem dowidzenia. Dziękuję pani za radę. Czuję, że będę bardzo lubił te spinki.

Ukłonił się elegancko i wyszedł. Zaczęła odtąd siadywać w sklepie częściej i coraz dłużej. Aż się rodzice nadziwić nie mogli. Spędzała wszystkie godziny, wolne od lekcji, za ladą. Opierała brodę na rękach i patrzyła w okno. Myślała: „Może dziś przyjdzie?", a gdy się zbliżał wieczór i zamykano sklep, mówiła sobie: „Na pewno przyjdzie jutro".

Nie przyszedł nigdy więcej. Może był tylko przyjezdnym? Ubranie miał takie porządne, wielkomiejskie, w drobniuchną kratkę i oczy śliczne, czarne jak węgle...

Nie myślała już więcej o klasztorze. Myślała o tem, jakie to byłoby szczęście, gdyby ten nieznajomy znowu się zjawił w sklepie. Po głowie snuło jej się Bóg wie co. Czytała wówczas mnóstwo powieści — i może dlatego? Wyobrażała sobie, że czeka ją niezwykły, świetny los, jak to się zdarza w powieściach. Może ten młody człowiek miał wielki majątek i nawet tytuł hrabiowski?

— Taka była wtedy głupia, — zakończyła panna Leonka. — Zakochałam się od jednego spojrzenia, jak jaka gęś...

A potem opisywała dalsze swe dzieje: śmierć rodziców prawie nagłą i prawie jednoczesną... Została zupełnie sama na świecie. Ludzie radzili jej to i owo, jak to ludzie. Ktoś jej zawrócił w głowie, że ma prześliczny głos. Ale gdzie tam i myśleć nawet! Strasznie dużo kosztowałaby ta nauka. Wybrała

wreszcie nauczycielstwo. Miała przecież patent z tych sześciu klas.

Sprzedała sklepik, za uzyskane pieniądze skończyła kursy uzupełniające dla nauczycieli ludowych. Akurat wystarczyło, zanim dostała pierwszą posadę. Było to trzy lata temu. A potem... Panna Leonka zawahała się. Dokończyła ciszej, a głos jej nieco drżał:

— Potem o mało nie poszłam zamąż. Już byłam po słowie...

Poznali się w Wilnie podczas wakacji. Pochodził z ziemiańskiej rodziny, a przyjechał do Wilna dla badania jakichś zabytków. Architekturę kończył w Warszawie.

Spodobali się sobie odrazu. Chodzili często na spacery, rozmawiali dużo ze sobą. Opowiedziała mu kiedyś całe swoje życie od początku, tak, jak mnie teraz. Nawet o tych spinkach nie zataiła nic... Był taki dobry dla niej, taki serdeczny! To on nazwał ją „Lena". Dał jej potem pierścionek z turkusem, chciał ją nawet raz pocałować, ale nie mogła przecież pozwolić... Ułożyli sobie, że się pobiorą, jak tylko zda egzaminy i dostanie posadę. Wyjeżdżając prosił, żeby pisała i sam obiecał pisać często. Ma całą pakę listów od niego (Pokażę pani kiedyś). A potem... Ech, co tu gadać! Pisywał coraz rzadziej, pod wiosnę już wcale, a wreszcie przyszedł znowu list, ale jaki inny od tamtych! Prosił w nim o przebaczenie i o zwolnienie ze słowa. Pisał, że nie jest jej godzien, że rodzina słyszeć nie chce o tem małżeństwie, a on, choć strasznie cierpi, nie może przecież martwić rodziny...

— Et, takie wykręty męskie, proszę pani. Wywietrzało mu z głowy i to całe Wilno i te spacery i... Więc napisał ten list... Naprawdę, to mi było bardzo smutno może z tydzień, może ze dwa. Jużem się przyzwyczaiła myśleć, że wyjdę zamąż. Długo miałam do niego żal, a i teraz mam. Bo po co było wszystko tak pięknie układać... Tak jakoś...

...Bo po co było... Prawda, moja panno Leonko. Po co właśnie tak? Każda z nas, kobiet osamotnionych, nosi później w sercu jakieś wspomnienie, zaprawne goryczą, jakiś żal głuchy do losu, do ludzi, że właśnie tak... Bo po co było roić, snuć jakieś plany, przeżywać w wyobraźni przyszłość promienną i bardzo słodką. Dzień przebudzenia z takiego snu staje się zawsze dniem pokuty za winy niepopełnione, za to, że się wierzyło przez chwilę, że będzie właśnie tak, że tak być musi.

Panna Leonka jest wcale przystojna, jest przytem żywa, wesoła. Jest młoda. Ja, która czuję się starsza, niż nawet jestem w istocie, widzę ten moment, w którym przygaśnie piękność i młodość — i wiara we własne siły — a na jej miejsce zaświeci tylko pustka i wzbierze bunt, że się jest pominiętą, zepchniętą z gościńca podróżną. W każdej z nas, kobiet, drzemie ten instynkt naturalny, instynkt rodziny, pragnienia życia się z kimś drogim, wybranym, — założenia ogniska, przy którem tak dobrze jest zasiąść we dwoje!

Śmieszne jest opieranie się takim nakazom, zagłuszanie najistotniejszych praw, przeczenie własnym pragnieniom. Śmieszne, bo prędzej, czy później, (raczej prędzej, jak później) nadejdzie chwila obrachunku. I jeśli życie dawało ci dotychczas wrażenie pełni, w takiej chwili powiesz sobie cichutko: To jednak nie wszystko, nie...

I poczujesz, samotna kobieto, że ci się stała jakaś niezmierna krzywda. Ominęło cię w życiu coś, co nie było powinno cię minąć: wyminął cię człowiek, którego spotkałaś na swojej drodze, lub może nie spotkałaś nawet... Wyminął cię ten, o którym myślałaś, lub mogłaś pomyśleć: jest mój.



Na wystawie światowej w Brukseli królową piękności świata obraną została miss Egiptu, którą widzimy na zdjęciu

IX.

Krótka i smutna jest historja mojej matki. Za wielki ciężar złożyło życie na tych wątłych ramionach. Nie udźwignęły go.

Jeżeli myślę o matce objektywnie — a mogę tak myśleć, gdyż utraciłam ją wcześnie — dochodzę do wniosku, że w pomyślniejszych warunkach byłaby się rozwinęła cudownie, jak rzadki kwiat, o który dbają dłonie troskliwe.

Wszystko prawie, co wiem o matce, słyszałam z ust ludzi mniej lub więcej obcych. Od niej samej nie mogłam słyszeć tych smutnych dziejów. Byłam dzieckiem, przed którem taiła nietylko swe troski i ból, ale nawet chorobę, nurtującą wyniszczony organizm. Szczegóły jej życia znam dzięki Balbinie, która nie mówiła o matce inaczej, jak „moja najmilsza panienka", dużo opowiadała mi też Emilka, najwięcej jednak może dowiedziałam się z ust ciotki Eufemji, która zżymając się i złoszcząc, nie nazywając matki inaczej: jak: „ta głupia, sentymentalna Helena", składała jednak cierpkiemi słowy hołd jej męstwu i niezrównanej słodyczy charakteru.

Mój dziadek posiadał duży majątek. Słyszałam, że był to człowiek bardzo gwałtowny, niepohamowany zarówno w miłości, jak w nienawiści. Podobno kochał nad życie swą żonę, a owdowiawszy, przelał całą tę miłość na córkę, krzywdząc nawet starszego o parę lat syna.

Z opowiadań Balbiny, która młodość w rodzinie dziadka spędziła, wiem, że nie było fantazji, jakiejby ten człowiek dla dogodzenia córce swej nie spełnił. Wszystko w domu miało być zależne od woli panienki — tylko że ta panienka od dziecka zdradzała wielką uległość...

Raz jeden w życiu wszakże okazała niezłomny upór. Raz jeden, właśnie wówczas, gdy wymagano od niej pokory i posłuszeństwa bezwzględnego. Nie rozumiem, skąd wzięła siły ta cicha, potulna istota, wyglądem przypominająca wątłe trawki wiosenne, które lada silniejszy podmuch potrafi przychylić ku ziemi. Oparła się wszystkim perswazjom, błaganiom, a wreszcie i — groźbom. W niewzruszonem milczeniu wysłuchiwała zarówno jednych, jak i drugich. Musiała nad życie kochać mego ojca, jeżeli dla tej jedynej miłości stargała wszystkie węzły, łączące ją z rodziną. Nie zawahała się nawet wówczas, gdy padły najokrutniejsze słowa:

— Precz z tego domu, wyrodna córko!

Było to wypowiedziane w uniesieniu, padło z ust człowieka nieprzytomnego z gniewu, jednakże miało swą wagę...

— Niesposób było patrzeć, opowiadała mi w wiele lat później Balbina, — jak to biedactwo słaniało się na nogach, wychodząc z domu. Bielsza była, niż ten opłatek, a usta miała całkiem sine, spieczone, jak od gorączki. Nie wzięła z domu nic, nic, nawet węzełka z odzieżą... Poszła, jak stała, w jednej sukience, a przecież to była jesień... Wybiegłam za nią, wytłumaczyć, do rozsądku przywieść...

— Już nic, Balbisiu, już nic... — szeptała jak nieprzytomnie. — Wypędzono mię, jestem przeklęta, teraz już jego jednego mam tylko na całym świecie...

„On" czekał za parkanem ogrodu na wynik decydującej rozmowy. Wstęp do domu był mu oddawna wzbroniony: od chwili, gdy bystre oko mego dziadka dostrzegło na twarzy dziewczyny szczególny wyraz, z jakim wpatrywała się w młodego artystę. Od tej chwili minęło sporo czasu. Nie było środka, którego nie spróbował stary despota dla uleczenia córki z tej niewłaściwej miłości. Obwoził ją po obcych krajach, roztaczał przed nią przepych wystawnego życia, starał się rozerwać jej myśli, jak tylko umiał i mógł.

Nadaremnie. Miłość, której matka moja nie znała nigdy, wybuchnęła jak wulkan, zawładnęła jej sercem, jej wolą, opanowała ją całkowicie. Jakże musiał dziadek złorzeczyć tej chwili, w której sprowadził młodego malarza do swego domu, sądząc, że w ten sposób zadowoli artystyczne aspiracje córki, zdradzającej zdolności rysunkowe.

W dniu wyjazdu „tego intruza, który, wśliznąwszy się do domu, jak wąż, opętał naiwną dziewczynę" — przyszła o zmierzchu do gabinetu ojca i powiedziała poprostu:

— Ojcze, ja go kocham. (C. d. n.)

MARJA REUTT 3)

Przeznaczenie

— Wysokie urodzenie kładzie na barki wysokie obowiązki — powiedziała kiedyś jakaś jej daleka starsza krewna. Księżniczka rozumie teraz te słowa. Rozumie je lepiej niż kiedykolwiek przedtem.

Musi! Zgodziła się na ten związek małżeński i pogodziła się z czekającym ją losem bez wielkiego nacisku ze strony rodziny.

* * *

Jest sama w pokoju. Duży, jasny, skromnie umeblowany pokoik jest jej jedynym, wiernym przyjacielem i powiernikiem. Tu sypiała jako mała dziewczynka najpierw z boną, potem z guwernantką, a wreszcie sama.

W białej szafce, stojącej w rogu pokoju ma jeszcze dziecinne zabawki. Leżą tam gdzieś na dnie lalki, niedźwiadki pluszowe, żabki, myszki, jakieś gry i zabawy dziecięce. Są też tam w tej szafce piękne oprawne książki dziecinne. Bajki, legendy, opowiadania. Leżą tam też gdzieś w kącie piękne obrazki. Dawny to inny i szczęśliwy świat.

Czasem o zmierzchu, gdy na dworze mży deszcz, a po całym zamku snuje się nuda, wilgoć i chłód, kiedy w pokojach nieopalanych chodzi pustka, wtedy księżniczka siada na ziemi, otwiera szafę i wyjmuje z niej swe skarby dziecinne. Są one skromne, jak skromną jest księżniczka.

Kiedy jest jej smutno, kiedy czuje się osamotniona na świecie, wtedy wyjmuje te zabawki, ogląda je z uśmiechem rozrzewnienia, bawi się niemi jak kiedyś i zaraz robi się jej jakoś lżej na duszy. Dobre były te lata dziecinne. Nie wiedziała wtedy co znaczy racja stanu, czy brak pieniędzy. Nie martwiła się długami braci, ruiną, upokorzeniem rodziny, niepopłaconemi rachunkami. Nie słyszała nawet o tem, co znaczy małżeństwo dla interesu, dla ratowania honoru i godności książęcej.

Z jakiemś uczuciem ciężkiego żalu zamykała zawsze szafkę, chowając w niej zabawki. Zgrzyt klucza w zamku brzmiał jak stukot młota wbijającego gwoździe do trumny. Zawsze miała uczucie, że grzebie swe marzenia dziewczęce o szczęściu i miłości. Z przykrością chowała klucze do kasetki, z westchnieniem wkładała do obiadu suknię, przygotowując się do odbycia nudnego, stereotypowego ceremonjału. Ale już za drzwiami pokoju przywoływała na twarz wymuszony uśmiech, schodziła dostojnie po szerokich schodach salonu, gdzie zasiadała do skromnego obiadu, podanego na wspaniałej, srebrnej i porcelanowej zastawie.

Zgodziła się na małżeńswo z księciem. Dostojny narzeczony obsypał ją dosłownię brylantami i perłami. Z Londynu przysłał jej wspaniały neseser z przyborami toaletowemi ze złota i różowej emalji. Z Paryża nadesłał najdroższe perfumy. Rzeczy te znała dotychczas z nazw. W domu bieda nie pozwalała na tego rodzaju wspaniałości.

I znowu, jak przez mgłę, przypomniała sobie słowa starej ciotki:

— Nic tak nie deprawuje, jak błyszcząca nędza.

Tak jest. Nic bardziej nie upokarza, jak drobne groszowe oszczędności, jak jedzenie nieokraszonej kaszy na talerzu z najwspanialszej sewrskiej porcelany. Dziwny to kontrast pokarm ubogich i srebrny widelec z monogramem książęcym.

Nastrój przy obiedzie był sztywny i ponury. Jak można się weselić, wiedząc o tem, że lokaj, który podaje do stołu, jest nieopłacony od dwóch lat. Przełyka się wtedy kęsy z trudem.

Jeszcze to kłamstwo, starające się nadać ceremonjałowi obiadowemu jakiegoś specjalnego dostojnego charakteru. Lokaj w starej, splamionej liberji z dawno zczerniałemi złoceniami i te niciane rękawiczki na jego rękach.

Potrawy były jak najtańsze. Rzadko, bardzo rzadko pojawiały się na stole wielkoksiążęcym jakieś bardziej wybredne dania. Trzeba było liczyć się ze wszystkiem. Trzeba było oszczędzać każdy grosz.

Kiedy zaręczyny księżniczki stały się faktem dokonanym, na dworze zapanowała radość. Cieszyła się też księżniczka. Nie będzie już potrzebowała odżywiać się dłużej kaszą i ziemniakami. Tak jest, to była jej pierwsza myśl. A potem przyszła myśl druga: — Będzie mi wolno świecić lampę choćby całą noc, będę mieszkała w ciepłych pokojach i będę miała nowe, całe rękawiczki i ładne obuwie.

Ale po tym pierwszym odruchu radości przyszła refleksja. Zrozumiała, że poślubienie księcia nawet za taką cenę, jest czemś okropnem. Chciała się cofnąć.

Błagała rodziców, by oszczędzili jej tego losu. Płakała po nocach i długie długie dnie chodziła jak błędna. Wreszcie uspokoiła się, poczęła się godzić ze swem przeznaczeniem. Sama doszła do przekonania, że nie było innego wyjścia.

Dziwne, po jakimś czasie odkryła w sobie jakieś uczucie wdzięczności dla losu, który jej użył na narzędzie do wybawienia całej rodziny od ruiny, nędzy i wegetacji.

Poczęto na nią patrzeć innemi oczyma. Rodzina rozpływała się dosłownie w czułościach względem niej. Bracia byli bardzo łaskawi, a wszyscy wokół otaczali ją hołdami. Chodziła w jakiejś promiennej glorji, jak dostojna władczyni, jak rozdawczyni wszelkich zaszczytów i łask.

Tylko głęboko na dnie serca leżał żal i smutek. Płakała jeszcze po nocach, szepcąc imię, które nie było imieniem narzeczonego.

W zamku od dwóch dni było gwarno i rojno. Zjechali się przedstawiciele różnych państw, przybyła rzesza ex panujących i krewnych.

W sali zamkowej, zwanej błękitną od obić ścian, zazwyczaj pustej, stały stoły, uginające się od podarków. Na kominku palił się ogień i świeciły jasno staroświeckie żyrandole.

Przy stołach dzień i noc czuwali uzbrojeni wywiadowcy policyjni nad zbiorem klejnotów, sreber, kryształów, koronek i obrazów. Nagromadzono tu wielkie skarby. Brosze, naszyjniki, zegarki, kolje, kolczyki, branzoletki, srebrne i bronzowe bezcenne wazy, wspaniałe sobole, gronostaje, srebrne i białe lisy.

Sama dziwiła się tym wspaniałościom i nie chciała wierzyć, że to wszystko należy do niej. Ale to jeszcze nie wszystko. W stajni rżał przepiękny angloarab, dar księcia Schwarzenberga, a w oficynie, przerobionej na garaż, stał wspaniały samochód.

Na uroczystości weselne przybyli już prawie wszyscy. Brakowało tylko przed stawiciela króla Ludwika Hermana. Z kancelarji królewskiej nadeszła depesza, że następca tronu przybędzie dopiero rano. Miał być starszym drużbą i miał ją prowadzić do ołtarza. Nie znał go nikt na dworze książęcym.

Pochodził z dalekiej północy. Kształcił się w Eton i w Oxfordzie. Był zamiłowanym podróżnikiem i badaczem. Od wczesnej młodości podróżował po dalekich oceanach i po egzotycznych krajach. — Skrzętnie omijał Europę. Nie wychowywał się na monarchę. Od tronu odgradzali go syn królewski i starszy od niego rodzony brat.

Nie myślał o tronie, nie marzył nawet o nim nigdy. Wałęsał się po dalekich puszczach i dżunglach Ameryki, Afryki, Australji. Nie pożądał też władzy królewskiej, wtedy, gdy jako rotmistrz gwardji królewskiej, odbywał powinność wojskową w stolicy.

Nagle pewnego dnia został następcą tronu bogatego, uprzemysłowionego państwa. Spadły na niego zaszczyty i odznaczenia. Stał się dziedzicem wielkich dóbr. Czekały go wysokie, królewskie apanaże.

W rodzinę królewską uderzył grom. Tego samego wieczora zginęli dwaj następcy tronu, królewski syn i królewski bratanek.

Syn królewski zginął niezbyt sławną śmiercią, zrzucony ze schodów trzeciego piętra przez zdradzanego i zazdrosnego męża. Legł w klatce schodowej z rozbitą czaszką.

Bratanek królewski, brat obecnego następcy tronu, poniósł śmierć w katastrofie samochodowej. Wracał pijany nocą z jakiejś hulanki.

Obu znaleziono bez życia nad ranem.

Nagle on, człowiek obcy, nieznany ogółowi poddanych, daleki od tronu, znalazł się tuż przy tronie.

Z dostojnych gości zebranych na zamku nikt nie znał go osobiście.

Księżniczka Kornelja, starsza druchna, drżała z niecierpliwości. Chciała koniecznie poznać tego osobliwego dziwaka. Wszak razem z nim miała brać udział w ceremonji ślubnej. Przeczytała wszystkie dzienniki, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o nim. Przeglądnęła wszystkie pisma ilustrowane, które zamieściły jego fotografje. Nie wiedziała jednak wiele. Wszystko to było dla niej zamało. Cieszyła się teraz z jego przyjazdu. Może więcej cieszyła się z tego, że będzie musiał w myśl obowią-

Następca tronu, młody, przystojny i bogaty, był kawalerem. Ileż to możliwości otwierało się przed nią, córką zdetronizowanego władcy małego państewka.

Takie same marzenia i projekty snuły księżniczki: Róża, Natalja, Berit, Zygfryda, Euzebja, Romana, Joanna. — Wszystkie one tęskniły do małżeńskiego stanu, któryby im zapewnił życie bez trosk i kłopotów.

Były wśród tych księżniczek także panny majętne, wykształcone, wychowane bez przesądów, jak mówiono, samodzielne i postępowe. Były też inne zacofane, nieśmiałe, wciśnięte w ciasne ramy przesądów rodowych dworskiej etykiety, tradycyjnych zwyczajów, postacie niewybiegające myślą poza mury zamku. Były takie, które dziejowe wypadki wypędziły z rodzinnych pałaców i kazały im mieszkać w ciasnych domkach przedmiejskich.

Tylko księżniczka Gabrjela nie czekała na męża i nie interesowała się osobą następcy tronu.

Gabrjela nieładna i niezbyt już młoda jak na księżniczkę na wydaniu, biedna, nie wchodziła już w szeregi kandydatek na żony władców. Nie liczono się z nią.

Mieszkała w Turyngji w skromnej willi w zapadłem miasteczku tej prowincji. Ojciec jej był znanym adwokatem. Pochodził z rodu zdetronizowanego jeszcze przez Napoleona.

Ożenił się bardzo młodo z jedną z licznych, ubogich księżniczek niemieckich. Było to małżeństwo z miłości. Osiadł daleko od dworów panujących, w mieścinie zagubionej w lasach. Za resztę schedy kupił w śródmieściu dom, w którym otworzył kancelarję adwokacką. Powoli dorobił się niedużego majątku, wybudował willę za miastem, przy której założył piękny ogród.

Miał dwie córki: Gabrjelę i Julję.

Dziewczęta wychowywały się początkowo w domu, potem oddano je do szkół w Anglji. Młodsza Julja wyszła za porucznika marynarki hr. Denhofa. Gabrjela musiała przerwać naukę w Cambridge z powodu wybuchu wojny. Po powrocie do kraju ukończyła studja prawnicze w Monachjum i pomagała ojcu w prowadzeniu kancelarji adwokackiej.

Rokrocznie jeździła z matką z wizytami do rodziny i krewnych. Odwiedzała też w Paryżu i Londynie swe przyjaciółki szkolne. Lata płynęły. Nikt nie ubiegał się o rękę ubogiej, nieładnej księżniczki. Żyła tylko „w swojej sferze“, a z tej sfery nikomu na myśl nie przyszło żenić się z księżniczką, która, jak się to mówiło, wyszła z obiegu. W tej sferze nic nie znaczyła inteligencja, ani zalety charakteru. Tu może bardziej niż w innych kołach liczono się z pieniędzmi, jakie kandydatka do małżeństwa przyniesie w posagu.

Gabrjela była nieładną, można powiedzieć, nawet brzydką. Twarz miała wydłużoną, szerokie usta, wąskie blade wargi, cerę matową bez rumieńca i blado-niebieskie oczy. Piękną miała jedynie sylwetkę. Była wysoka, smukła, kształty miała harmonijne. Poruszała



W Brukseli odbył się wybór królowej piękności świata. W związku z tem przybyły do stolicy Belgji niektóre „królowe“ (na zdjęciu—od lewej ku prawej): Francja, Jugosławja, Haiti, Egipt, Austrja, Italja, Hiszpanja i Rumunja.

się wdzięcznie, rytmicznie, tak, jakgdyby szła tanecznym krokiem.

Nie brano jej pod uwagę. Patrzono na nią z pewnem politowaniem. Ona zgadzała się z rolą ubogiej krewnej i usuwała się w cień. Z wielkim trudem zmuszono ją do tego, ażeby przyjechała na zaślubiny krewniaczki i wystąpiła na tej uroczystości w stroju przewidzianym etykietą.

Zgodnie z ceremonjałem, miało towarzyszyć księżniczce do ołtarza 12 druchen, ubranych w jednakowe suknie, uszyte wedle tradycyjnych wzorów. Wchodziła w skład tego dostojnego orszaku. Blado-niebieska suknia uwydatniała jej piękne kształty, ale czyniła jej cerę zbyt bladą, prawie ziemistą. Wiedziała o tem, że w tej książęcej sukni nie wygląda zbyt dobrze, ale nie przejmowała się tem zbytnio.

Patrzyła bez zazdrości na swe towarzyszki, tak, jak oglądała obojętnie wspaniałe podarki dla panny młodej, pilnowane przez policję. Zdawała sobie sprawę, że ta jej krewniaczka sprzedaje się za te skarby.

— Biedna niewolnico — myślała. — Sprzedano cię temu pijaczynie.

* * *

W zamku panował ożywiony ruch. W dużej parterowej sali tańczono. W pokojach bocznych grano w karty. Młodzież flirtowała, przechadzając się po szerokich krużgankach. Na księżniczkę Gabrjelę nikt nie zwracał uwagi. Mówiono, że jest brzydka, poważna i „uczona“. To słowo „uczona“, wypowiadane przez księżne i margrabiny, brzmiało jak obelga.

Snuła się po salach zamkowych do północy. Zamieniła kilka słów z weselnymi gośćmi, a potem siedziała bardzo długo na zamkowym tarasie, patrząc w zamyśleniu na stary, zachwaszczony park. Wreszcie znużona udała się do swego pokoju, gdzie usiadłszy na starym, wypłowiałym fotelu, czytała książkę niemal do świtu.

* * *

Panna młoda nie spała również całą noc. Budzący się piękny, pogodny ranek nie rozproszył nocnych majak i widziadeł. Ponure myśli, jakie dręczyły ją w ciągu nocy, uderzyły na nią teraz o wiele gwałtowniej.

Dziś jej ślub!

Rozmyślała nad tem wczoraj cały dzień, snując się jak lunatyczka po zamku. Uśmiechała się do gości, bo tak trzeba było. Robiła zadowoloną i szczęśliwą, bo cóżby jej z tego przyszło, gdyby na oczach tej całej błyszczącej czeredy okazywała swój smutek. Zresztą usiłowała odsunąć od siebie myśl o tym ślubie możliwie jak najdalej. Czasami zdawało się jej, że to o kimś innym rozmawiają goście weselni, a nie o niej. Miała wrażenie, że to któraś z tych licznych księżniczek jakie zjechały się na uroczystości do zamku, wychodzi zamąż, że ona jest tylko biernym świadkiem tego co tu będzie. Były chwile, w których wierzyła, że to wszystko to jakiś ciężki senny koszmar.

Teraz, kiedy słońce ozłociło niebo i budzący się dzień przemówił rozgwarem życia, zdała sobie jasno sprawę, że to wszystko co się tu w zamku dzieje, to wszystko dla niej, że to ona będzie musiała już dziś za kilka godzin stanąć na ślubnym kobiercu z człowiekiem, do którego czuła wstręt.

Wzdrygnęła się i pełna trwogi zeskoczyła z łóżka i poczęła się nerwowo ubierać.

Bała się myśleć o tem wszystkiem, starała się odpędzić od siebie jak najdalej wizję tego momentu, w którym zatrzasnęły się za nią drzwi na zawsze.

Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. W całym zamku panowała głęboka cisza.

Podeszła do okna, podciągnęła storę. Fala jasnego, złotego światła wdarła się do pokoju, nadając sprzętom żywsze kolory. Otworzyła okno szeroko, chcąc odetchnąć chłodnem powietrzem poranka. W dole budził się do życia park, za którym ciągnęły się łąki i lasy. Zdaleka doleciał turkot pociągu,

Przed bramę zamkową zajechał powóz. Siedziało w nim dwóch mężczyzn. Widziała jak stróż otwierał bramę i kłaniał się nisko. Domyśliła się, że to ostatni gość, następca tronu po królu Ludwiku.

— Poprowadzi mnie do ołtarza — pomyślała z niechęcią. — Niedługo już, za parę godzin...

Niech się dzieje, co chce. Tych kilka godzin, jakie ją dzielą od ślubu, należą przecież do niej. Ubrała się szybko i przywoławszy ulubionego foksterjera, przesunęła się cicho przez korytarz, schody dla służby i sień i wyszła do parku.

Poczuła się nagle swobodna.

Pies począł gonić jak oszalały po ścieżkach i zapuszczonych klombach. Księżniczka szła wąską ścieżką, radując się swobodą i pięknym, wstającym dniem. Weszła w starą, cienistą grabową aleję. Pies w podskokach biegł przodem. Park gęstniał coraz bardziej. Ścieżki były zarośnięte trawą, a przejście niemi tamowały gałęzie dawno niepodcinanych krzaków.

Wyszła na polanę skąpaną w słońcu i mieniącą się tysiącem barwnych iskier słonecznych, łamiących się w kroplach rosy. Usiadła na kamiennej ławeczce, stojącej przy krzaku zdziczałego jaśminu.

— Boże — poczęła się modlić cicho — taki piękny stworzyłeś świat. Czemu ludziom tak skąpisz szczęścia i radości?

Pies zziajany gonitwą legł u jej stóp i dyszał ciężko. Pochyliła się nad nim i gładziła dłonią jego białą sierść.

Po chwili pies leżący spokojnie i poddający się biernie pieszczocie jej dłoni, poruszył się niespokojnie, począł warczeć, a po chwili z głośnem ujadaniem rzucił się w stronę ciemnej ścieżki, przysłoniętej zdziczałemi krzewami.

— Do nogi! — zawołała ostro. — Pies posłusznie zawrócił. Odwracał jednak głowę w stronę ciemnej ścieżki, zjeżył sierść na karku i warczał niezadowolony.

Rozchyliły się gałęzie krzewów i na polanę wszedł wysoki mężczyzna w stroju podróżnym.

Na widok księżniczki cofnął się.

Spotkały się ich oczy. Dziewczynie dech zamarł w piersi, a przed oczyma zawirował świat. Jak przez sen usłyszała znajomy głos i pieszczotliwie wypowiedziane imię... Karina.

Pochyliła głowę, opuściła bezwolnie ręce. Uderzyło ją nagle to spotkanie. Nie wiedziała, czy śni na jawie, czy też słyszy naprawdę ten głos, który przemawiał do niej przez tyle dni, przywoływany tęsknotą jej serca.

I znowu doleciało ją ciche — Karina.

Otrząsnęła się z wrażenia. Podniosła głowę i spojrzała na stojącego przed nią mężczyznę.

Tak, to on. To Sandro.

Nie zdała sobie sprawy z tego, kiedy znalazła się w jego ramionach i kiedy zwarły się ich usta w pocałunku.

Widocznie tak Bóg chciał, ażeby bodaj na moment rozjaśnić jej duszę, zanim mrok obowiązku odgrodzi ją od słońca i radości.

— O, jak dobrym i miłosiernym jest Bóg.

Wysunęła się z jego objęć. Trzymała go teraz za ręce, pochylona cokolwiek w tył i patrzyła mu w oczy.

— Skąd się tu wziąłeś? — pytała.

— A ty co tu robisz? — odpowiedział pytaniem. Patrzył na nią rozmiłowanym wzrokiem.

— Jestem dwórką księżniczki, jej towarzyszką i powiernicą.

— Ale ty jak się tu dostałeś? — dopytywała się z uśmiechem.

— Przyjechałem z następcą tronu dziś rano. Pogoda, jak widzisz, prześliczna, wyszedłem, aby się przejść trochę. Znalazłem szczęście. Dobrze mówi przysłowie, że kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje".

— I dał nam taką radość — odezwała się cicho.

Znowu tulił ją w swych ramionach i znowu przylgnęła do niego cała i znowu spotkały się ich oczy i usta w pocałunku.

— Myślałem, że się już nigdy nie spotkamy. Wyjechałeś tak nagle — poczęła mówić z wyrzutem.

Spochmurniał. Oczy nabrały jakiegoś kamiennego wyrazu.

— Musiałem. Dostałem rozkaz.

— Było mi tak przykro, tak bardzo przykro. Wyjechałeś tak nagle bez pożegnania. Posłałam do hotelu list. Odesłano mi go z powrotem.

— Nie było czasu. Musiałem opuścić Taorminę natychmiast. Wiesz jakie nieszczęścia spadły jednocześnie na nasz dwór. W takiej sytuacji musiałem stawić się natychmiast.

— Czy pamiętałeś o mnie?

Sięgnął do bocznej kieszeni marynarki, wyjął skórzany portfel, otworzył go. Z oprawy ramki wyglądała jej własna twarz roześmiana, wychylająca się zza kolumny greckiego teatru.

Teraz ona zdjęła z szyi staroświecki złoty medaljon. Otworzyła go.

— Patrz — powiedziała cicho.

Tak, to był jego portret.

Jakiś ból przebiegł skurczem po jego obliczu.

— Gdybym mógł... gdybym był wolny... — myślał z goryczą.

Ona jakby odczuła jego ból. Ścisnęła mocno jego dłoń.

— Radujmy się chwilą — powiedziała nagle. Zapomnijmy o wszystkich troskach. Chodźmy tak w świat, ten piękny słoneczny świat.

Przeszli park, łąkę i stanęli na skraju lasu.

— Prawda, że piękny jest świat — spójrz jak tu ładnie. Codziennie chodzę tu na przechadzkę.

Pierzchła radość. Przypomniała sobie nagle, że to już dziś ostatni raz jest tutaj, że nawet jeśli kiedyś jeszcze w życiu odwiedzi ten zakątek, to nie będzie to już to samo. Zaszkliły się jej oczy łzami. Próbowała je ukryć. Ale on dostrzegł te łzy.

— Płaczesz Karina? Dlaczego?

— Tak czasem ogarnia mnie jakiś smutek, zupełnie bez powodu — odpowiedziała wymijająco. Próbowała się uśmiechnąć.

— Opowiedz coś o sobie, co robiłeś przez ten czas.

— Służba, przeglądy wojskowe, raporty, audjencje, zwykły żywot oficera gwardji.

— Ale czemu ty tak szybko uciekłaś z Taorminy?

— Skąd wiesz o tem? — zdziwiła się.

— Wróciłem, żeby się jeszcze raz z tobą zobaczyć. Nie było cię już w Taorminie.

Milczała wzruszona. Namyślała się.

Nie mogła mu przecież powiedzieć, że to ochmistrzyni przerażona ich zacieśniającą się coraz bardziej znajomością zmusiła ją do wyjazdu.

Zgodziła się wyjść za księcia. Po tej decyzji czuła się tak wyczerpana, zmęczona i przygnębiona moralnie, że lekarz polecił ciszę, spokój, oderwanie się od dotychczasowego trybu życia i otoczenia. Musiała wyjechać. Cieszyła się z tej lekarskiej decyzji. Chciała bodaj na moment zapomnieć o tem, że jest księżniczką krwi, że pochodzi z panującego domu. Chciała być raz sobą. Mieć bodaj ograniczony zakres działania, na którym nie krępowanoby jej woli.

Rodzice, uszczęśliwieni jej zgodą na małżeństwo z księciem Gorgonjuszem, zgodzili się na jej wyjazd, aprobowali stanowisko lekarzy. Wybrano Taorminę. Właściwie to tę miejscowość sama wybrała. Czytała kiedyś opowiadanie o dziewczynie z Taorminy i od tej chwili chciała koniecznie poznać tę miejscowość. Kiedy wyłoniła się kwestja, dokąd ma wyjechać, orzekła, że pojedzie na Sycylję.

Rozpoczęto przygotowania. Przedewszystkiem poinformowano się dokładnie o koszta takiego wyjazdu. Trzeba się było liczyć z groszem, dopóty, dopóki księżniczka nie wyjdzie zamąż za bogatego władcę. Potem będzie sobie mogła pozwolić na różne kaprysy.

Dowiedziano się, że Taormina jest miejscowością spokojną, zdrową, malowniczą, a co najważniejsze, w t. zw. martwym sezonie, bardzo tanią.

Pojechała na Sycylję ze starą doświadczoną ochmistrzynią.

Struchlała stara dama dworu, dbająca o honor książęcego domu, widząc, że między księżniczką, a nieznajomym jej cudzoziemcem, jakimś oficerem gwardji, nawiązuje się zbyt zażyła przyjaźń. Błagała księżniczkę, by wyjechały jak najprędzej, ale młoda dziewczyna śmiała się z trosk i obaw starszej damy. Miała wakacje, jedyne w życie wakacje. Nie była tu księżniczką Franciszką, ale panną Kariną Braun. Chciała użyć wywczasów. Nie pomogły prośby ochmistrzyni, nie pomagały nawet jej łzy.

Dziewczyna biegła radośnie codziennie na spotkanie człowieka, do którego przylgnęła całą duszą. Była to jej wielka miłość, pierwsza i prawdopodobnie ostatnia w życiu.

Z nadmorskich przechadzek i dalszych wycieczek wracała do domu wesoła, roześmiana, szczęśliwa. Śmiała się i kpiła z załamanych rąk i zmartwionej miny starej ochmistrzyni. Była szczęśliwa. Odnalazła wreszcie zagubioną w tysiącu formułek etykiety dworskiej własną, promienną młodość.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

WIECZÓR

Z cyklu: „Jesień"

Zasypiają zwolna szare mokradła,
Kołysane pluskiem sąsiedniej rzeki.
Mgła nisko, a ciężko na łąki spadła —
Dzień zamyka zwolna senne powieki.

Zmierch wkrąg się rozsnuwa szarawym cieniem,
Jakby jakaś wielka, hen — pajęczyna,
I otula wszystko w sennem marzeniu —
Księżyc z za chmur zwolna świecić zaczyna.

Danuta Wyrybkowska.

KTO ROZBUDZI RADOŚĆ ŻYCIA?

„Irela". Przypuszczenia Pani co do wymienionego w liście Sympatyka, nie zawiodły Panią. Imię, nazwisko i miejscowość zgadza się najzupełniej.

A teraz przystąpmy do innych spraw, mianowicie do przyjęcia Pani do naszego grona. A więc od dzisiaj należy już Pani oficjalnie do członków „Krainy". Musimy jednak Panią poznać bliżej, zamieszczam więc niżej wyjątek z listu, w którym mówi Pani o sobie i w którym zwraca się do Sympatyków „Krainy":

„Pomimo ogólnie wmawianej teorji, że praca zawodowa daje największe zadowolenie, nie mogę tego do siebie stosować, gdyż moja praca biurowa stała się dla mnie służbą niewolniczą — najbardziej gorzką, gdyż traktowanie sił przez moich pracodawców jest nieznośne, dzięki czemu praca dla mnie posiada bardzo mało uroku i mało przynosi mi zadowolenia.

Dla tej osoby, która zechce zwrócić z pomiędzy korespondujących uwagę na mój zew, zachowam najgłębszą wdzięczność.

Czekam więc z nadzieją, że znajdzie się ktoś, kto rozbudzi we mnie radość życia."

CO PISZE „NENUFAR"?

„Nenufar." Słowa Twoje, Droga Dziewczynko, przemówiły mi głęboko do serca. Widzę, że jesteś myślicielką i pięknie potrafisz sobie tłumaczyć wszelkie przejawy życia. Pozwolę sobie pewną część Twego liściku przedrukować, aby ją przeczytały Twoje „Siostrzyczki" z „Krainy" i starały się potem Ciebie naśladować:

...Nudów nie znam. Zawsze potrafię sobie znaleźć jakieś zajęcie, więc czas mi płynie hyżo. Smutek również rzadko puka do mego serca, gdyż posiadam duży zasób życiowej pogody.

Boleję tylko na widok czyjejś nędzy lub nieszczęścia i staram się w miarę możności nieść pomoc uciśnionym.

Pozatem wystarczy mi, że jestem zdrowa i wesoła, a to przecież bardzo ważne w latach młodości. Nie rozumiem, jak niektórzy młodzi ludzie załamują ręce nad nieszczęściem i upadają na duchu. Gdzież tu siła? Czyż nie lepiej z głową podniesioną do góry, maszerować śmiało drogą życia — iść zawsze naprzód i nie załamywać się, choćby i ciernie i głogi na niej rosły. Ubiegłego roku zabrał mi Bóg ukochaną siostrzyczkę. Żal mi jej do dziś ogromnie, a przecież mam twarz pogodną i stawiam hardo czoło nieszczęściu. Nie wiem, czy mam prawo tak pisać, lecz piszę zawsze to, co mi nasuwa myśl. Muszę już skończyć, bo napewno chmurka gniewu osiądzie na pogodnem, jak jutrzenka wiosenna czole Koch. p. Zosieńki.

Na zakończenie ślę osobne pozdrowienia dla: Jadźki z Kujaw — „Kaliny" — „Białej Uajali", również uznanie za śliczne wierszyki. Odwzajemniam także pozdrowienia „Sowy" — „Lucji" i „Topólki".

ADRES DOBRY!

„Łobuz w spódnicy." Adres wymieniony w liście jest dobry, może Pani w ten sposób swoje listy adresować.

Cieszy mnie bardzo, że jest Pani zadowolona z swej korespondencji, czuje się świetnie i zawsze pamięta o „Krainie". Oby tak było nadal!

Serdecznie Panią całuję i za kochany liścik i za szczere pozdrowienia i za uściski.

KTO TO?

„Uśmiech Lata". Kto to ten „Uśmiech Lata? — zaciekawią się zapewnie wszyscy Czytelnicy i będą się radzi wszystkiego o Nim dowiedzieć. Postaram się więc zaspokoić ciekawość każdego i zdradzę, że „Uśmiech Lata" to młoda, przystojna blondynka — Pomorzanka. Podobno jest zawsze wesoła i kocha to, co piękne i dobre. Ogromnie chciałaby korespondować z „Boginką" — „Duszyczką" — „Lilką" „Samotną Klarutą" — „Wesołą Andziulką" — „Małą Pieszczotką" — „Wesołym Stefkiem z Grudziądza" — „Podoficerem" — „Te — Em" — „Ord — Omem" i „Ben — Alim".

Oj! Kochanie czy to nie będzie za wiele?! Na 11 liścików dać odpowiedź to przecież nie fraszka! Życzę jednak szczerze otrzymania ich w takiej ilości...

LEKARSTWO NA ZAWODY ŻYCIOWE

„Wulkan wesołości". Liścik Pani odebrałam. Zauważyłam, że była Pani w jakimś bardzo poważnym nastroju, pisząc do mnie, gdyż niektóre zdania listu zastanowiły mnie swą powagą i „filozofją".

Pod koniec jednak listu uderza Pani w wesoły ton i odzywa się w krótkich słowach do smutnych Sympatyków „Krainy":

... „jeżeli ktoś z „Rodzinki" cierpi na „niestrawność zawodów życiowych", niech się zgłosi po lekarstwo do mnie".

Oczywiście, że zgłosi się dużo — zawodów życiowych nikomu nie brak, a lekarstwo na nie tak trudne do zdobycia, odrobina jego każdemu się przyda.

Sympatyczki, o które Pani pyta, posiadają zupełnie inne nazwiska. Wierszyki? Blade i niewyrobione! Zupełnie w nich brak talentu, a bez tego żaden wiersz nie będzie dobry.

„Kwiaciarce" ślicznie dziękuję za pozdrowienia i przesyłam Jej i Pani moc serdecznych uścisków.

JESIENNY ŚWIT

Wstaje cichutko, drga jeszcze w zorzy dalekiej
Świt szaro-perłowy, jak szare nitki pajęczyn.
Z nad pól rozłogów wstaje spowity w mgły lekkie,
— Jest jeszcze niczem — szary — bezbarwny
— bezdźwięczny.
Cichutko, sennie, wstaje z nad wilgotnej ziemi,
Wszędzie szaro i szaro — mgły perłowe płyną...
—Leci hen w nieskończoność smugami srebrnemi,
By w pierwszych blaskach zorzy rozwiać się i
zginąć.
Tak wstaje świt jesienny, owiany tęsknotą,
Sunie sennie, powoli, jak wirem tanecznym,
Przez pól rozłogi i przez drogi piaskiem złote;
A wokoło cisza, taka ogromna jak wieczność.

I zewsząd wieje czar nieznany, a bolesny
I na umarłych kwiatach lekko się położy
Pieśnią, co mknie z oddali skrzydłem bezsze-
lestnem —
Pieśnią z łez rosy srebrnej — najczystszych łez
bożych.

Jadźka z Kujaw.

WYSŁAŁAM

„Kazik." A więc dobrze! Narazie kontentuję się króciutkim liścikiem, ale czekam na ten zapowiedziany — długi.

Listy wysłałam. Za pozdrowienia bardzo, bardzo Panu dziękuję.

WYSTRZEGAJMY SIĘ PESYMIZMU

„Gwidon". Dziękuję Panu jak najmocniej za obszerny i długi list. Nie podoba mi się w nim tylko słowo: „pesymizm". Za młody Pan na to, aby patrzeć tak ponuro na świat. Stanowczo musi Pan się wyleczyć z wszelkiego „cierpiętnictwa", temwięcej, że posiada Pan wszelkie dane, aby się uczuć pogodnie i dobrze. Czy to się Panu uda, dowiem się w następnych listach, prawda?

A propos przyjęcia Pana do „Krainy": pomimo, że nie zaznaczyłam tego wyraźnie, ale przyjęłam już Pana do niej po otrzymaniu od Niego pierwszego listu. Czy to Panu wystarczy?

List zaadresowałam i wysłałam. Zapewnie odpowiedź już zdążyła do tej pory nadejść? Serdecznie pozdrawiam.

DLA CIEBIE

Gdy wieczorem gwiazdki
zaświecą na niebie,
zaśpiewam piosenkę
jedynie dla Ciebie..

Zaśpiewam piosenkę,
co smutnie w dal spłynie...
W niej żale me złożę —
ach! w niej jedynie!

— — — — — —

Gdy wieczorem gwiazdki
zaświecą na niebie —
o rozstaniu piosenkę
zaśpiewam dla Ciebie.

„Iste Wenus".

„WYRAZY WSPÓŁCZUCIA"

„Dusia" napisała znowu do mnie milutki liścik. Prosi w nim „Lilkę", aby napisała do Niej list, pozdrawia: „Śpiewającego Słowika" — „Kalinę" — „Duszyczkę" — „Rysię" — „Iste-Wenus" — „Pokutnika" i „Nygusa."

Dziękuję Ci, „Dusiu", w imieniu wymienionych Sympatyków za pozdrowienia i przesyłam Ci wyrazy współczucia z powodu przeszkód, uniemożliwiających Twój wyjazd do Zakopanego. Szkoda, zapewne zdobyłabyś bardzo dużo wrażeń w pięknych i malowniczych Tatrach. Pozostaje Ci więc teraz zaczekać z wyjazdem do drugiego roku, a może wybierzesz się, „Dziusiu", do Zakopanego w sezonie zimowym?

KILKA SŁÓW O GRAFOMAŃSTWIE

„Haadżi - Halet - Omar." Drogi Panie! Chcąc tworzyć wiersze, trzeba się najpierw nauczyć dobrze pisać ortograficznie. Częstochowskie rymy Pana, ukwiecone takiemi słowami jak: „ktury" — „mażeń" — „cuż", stanowczo na nikim nie mogą zrobić żadnego wrażenia. Trzeba być laikiem, aby przy takich ubogich wiadomościach z dziedziny pisowni, rościć sobie pretensję do twórczości tak wielkiej i wzniosłej jaką jest bezsprzecznie poezja. Lepiej już poszukać sobie odpowiedniejszego zajęcia.

Kreśląc tych kilka słów, nie kieruję się bynajmniej złośliwością, chodzi mi tylko o sprowadzenie Pana z złej drogi. Niech mi Pan wierzy, że stokroć wartościowszy jest taki człowiek, który nigdy nie przecenia swych sił i zawsze wykonuje zajęcia odpowiadające jego zasobom siły wewnętrznej i fizycznej, niż ktoś niedorosły do spraw, do których się garnie. Tak samo jest z szczerą, prawdziwą poezją i grafomaństwem. Poetą trzeba się już urodzić, wierszorobem zaś każdy może być. Przykre jest tylko, gdy się czyta takie grafomańskie utwory, które są jakby chwastami wśród czystych kwiatów prawdziwej poezji.

Przesyłając wiele serdecznych pozdrowień, żywię nadzieję, że nie będzie Pan czuł do mnie urazy za tych kilka słów krytyki, lecz pozostanie nadal przyjacielem Sympatyków „Krainy" tylko z tą różnicą, że nie będzie już próbował pisać.... wierszy.

NA KAŻDY LIST ODPOWIEDŹ

„Błękitna Pantera II." to przystojny, średniego wzrostu szatyn. Zamieszkuje śliczne okolice Jarocina. Zapytuje, czy ktoś nie skreśliłby do Niego kilku słów, np. „Złota Niteczka", „Muszka" lub „Smutna Mirjam". Nie wyklucza także i innych Sympatyków. Na każdy list — odpowiedź murowana!

„CHĘTNIE NAWIĄZAŁABYM KORESPONDENCJĘ..."

„Adka z zaczarowanego stawu." Zgodnie z życzeniem, przesyłam w imieniu Pani pozdrowienia „Genjuszowi" i „Jankowi", przyjmuję do „Krainy" i zamieszczam utartym moim zwyczajem kilka słów z listu Pani.

„Jestem młodą blondynką, zawsze wesołą — smutku nie znam wogóle. Interesuje mnie wszystko dobre i piękne na świecie. Chętnie nawiązałabym korespondencję z jakimś Sympatykiem o wesołem i beztroskiem usposobieniu."

Takich Panów w naszem gronie nie brak, „Adko", więc nie będziesz zapewnie potrzebowała długo oczekiwać na liścik.

RÓŻAŃCOWA PANIENKA

Różańcowa Panienka
jest w złocistym brzasku,
U mej matuli w domu
na świętym obrazku...
— — — — — —
Zajaśniał kościół cichy
w tajemnym mroku,
W jarzących świec powodzi
ma tyle uroku.
Z ołtarzyka Marji
błogość jakaś spływa —
Na schylone postacie
zdroje łaski zlewa.
Różańcowe paciorki
w palcach przesuwane...
To dla Jasnej Panienki
kwiaty ukochane.
— — — — — —
Gasną świeczki powoli,
Jak życie człowieka,
Jak czas wolno płynący,
co nigdy nie czeka.
Różańcowa Panienka
ziołami owita,
Radosnym swem uśmiechem
jutro nas powita.

„Ika".

NIE TRZEBA SIĘ LĘKAĆ ŻYCIA

„Iste Wenus." Proszę, niech Pani się nie obawia samotności wśród ludzi nieznanych. Idąc o własnych siłach przez życie jedynie zyska Pani — nauczy się samodzielności i zdobędzie tak cenne dla każdego doświadczenie życiowe. Nie trzeba się tylko lękać życia, gdyż nie jest ono takie straszne dla tych, którzy potrafią ocenić jego dobre strony i z poddaniem przyjmować złe.

Pewna jestem, że otrzymam już wkrótce list, w którym doniesie mi Pani, jakie wrażenie zrobiło na nią nowe środowisko i wiadomość czy żal za rodzinnemi stronami już minął, a łzy obeschły. Czekam, 'ochanie!

O mało byłabym zapomniała w imieniu „Iste Wenus" pozdrowić „Jadźkę z Kujaw", „Ikę" czarującą dziewczynkę — „Helutkę" i „Kajtusię z Kaszub".

NIE ZWLEKAJCIE!

„Biała Niezapominajka" i *„Boginka II"* to dwie siostrzyczki. Pierwsza z nich to 20-letnia bardzo wesoła blondynka, o czarujących oczach i twarzy marzycielki, druga zaś to również młodziutka blondynka, o roześmianej buzi. Obydwie mieszkają na Pomorzu, w niewielkiej wiosce, położonej wśród malowniczej, pięknej okolicy. Na nudy nie skarżą się nigdy. Czytając dużo odpowiedzi w „Krainie" na listy Czytelników, zapragnęły również nawiązać z kimś interesującą korespondencję.

Nie zwlekajcie więc, Drodzy Sympatycy i zabierzcie się jak najprędzej do skreślenia listów do tych dwóch miłych panienek.

PRZECZYTAŁAM Z RADOŚCIĄ

„Brzydka Kaszubka". Liścik Pani przeczytałam z radością. Szczególnie zainteresowały mnie wiadomości dotyczące korespondencji Pani. Cieszę się, że znalazła Pani życzliwą i oddaną duszę w osobie jednej z Sympatyczek „Krainy".

Na zakończenie przesyłam, załączone przez Panią pozdrowienia: „Młodemu Technikowi" i „Puerowi", również nie zapomniałam o ustnem pozdrowieniu jednego z pracowników naszego wydawnictwa; dziękując serdecznie za mojem pośrednictwem za zachowaną pamięć. Serdecznie Panią całuję i spodziewam się nowego listu.

POZDROWIENIA

„Wiejski Motylek" przesyła pozdrowienia: „Ice" — „Leonowi z Warszawy" — „Białemu Murzynowi" i „Sympatycznemu Przyjacielowi".

DZIĘKUJĘ!

T. K. z N. List wysłałam. Dziękuję z całego serca za życzliwe i dobre słowa. Zamieszczam je niżej:

„Droga Pani Zosienko! Wędrowałam długo po górach, dolinach i natrafiłam nareszcie na czarowną krainę — „Krainę szczerości i naszych trosk". — w której Ty o Pani jesteś królową i dobrą wieszczką. Zechciej w swej łaskawości przyjąć nową sympatyczkę do swego grona.

Mam niezłomną nadzieję, że w Twej krainie znajdzie się zakątek, gdzie rozkosznie próżnując można leżeć wśród łąk i patrzeć w niezgłębiony lazur nieba. Takim lazurem chciałabym obdarzyć wszystkich Sympatyków „Krainy", którym obłoki smutku zasłaniają widoki.

Oryginalne wyobrażenie Pani o „Krainie", jak również górnolotny styl liściku, zapewnie zwrócą uwagę niejednego i natchną do nawiązania z Panią bliższego kontaktu.

Na zakończenie malutkie pytanie: dlaczego Pani nie obrała sobie jakiegokolwiek pseudonimu? Czy przez zapomnienie?

NIE ZAWSZE MOŻNA SIĘ WCZUĆ W CZYJEŚ POŁOŻENIE

„Powój". Długi liścik Pani wraz z fotografją — odebrałam. Nie wiem, jak podziękować, Drogiej Pani, za tyle poświęcenia i za wzruszającą pamięć. Szkoda, że dzieli nas taka olbrzymia przestrzeń, gdyż uściskałabym Panią serdecznie, a tak pozostanie mi tylko przesłać uściski na odległość.

Skarży się Pani, że nie znajduje zrozumienia wśród otoczenia. Proszę, niech się tem Pani nie martwi! Z własnego doświadczenia przecież Pani wie, że nie zawsze można się wczuć w czyjeś położenie, tak samo więc i inni nie są w stanie Panią zrozumieć.

Na list przesłany w ubiegłym tygodniu dam odpowiedź wkrótce. Narazie zaś ślę jeszcze raz jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

WYBÓR TAK OGROMNY

„Sokół z Mazowsza." Obawy Pana były bezpodstawne, bo i Pan otrzymał liścik od „nieznanej" i zapewnie obecnie prowadzi już interesującą korespondencję. Jeżeli chodzi o polecenie kogoś zkimś możnaby prowadzić wartościową korespondencję, uważam, że najlepiej będzie, gdy Pan wybierze według własnego uznania kogoś w „Krainie" i nawiąże z nim wymianę myśli. Wybór tak ogromny i różnorodny, więc nie będzie trudno wyczuć w kimś spokrewnioną duszę.

Ślę Panu na dalekie Mazowsze wiele serdecznych pozdrowień z ziemi pałuckiej i czekam na nowy list.

KTO?

„Jerzy" i *„Waldy".* Kto napisze serdeczny list do „Jerzego", studenta medycyny, szatyna średniego wzrostu, głębokiego myśliciela, muzykalnego i wielkiego miłośnika przyrody i sztuki?...

A kto do „Waldego" — prawnika, kończącego studja, wysokiego wesołego bruneta, sportowca, poszukiwacza przygód i wrażeń.

A może napisze „Bajka", która do tego stopnia zaabsorbowała obydwóch tych Panów, że wyrażają chęć nawiązania z Nią korespondencji?

TROCHĘ REFLEKSJI NA ZAWSZE AKTUALNY TEMAT

„August". Widzę z listu, że życie Pana obfitowało w momenty, jakie przeżywa tysiące osób. To stare historje! Któż z nas nie miał w życiu zawodów, ileż podobnie, jak Pan musiał pożegnać się na zawsze z swemi marzeniami, ilu spotyka się takich, którym zdradziecki los nieoczekiwanie pokrzyżował plany i nadzieje! Bodaj, że nie spotyka się na świecie takiego szczęśliwca, któremuby się życie ułożyło tak, jak z góry sobie obmyślił. Tak, Drogi Panie, życie kryje w sobie moc niespodzianek, niewiadomo nigdy, co nam nowego za chwilę przyniesie. O tem wie doskonale Pan sam i wiemy wszyscy!

Rzucam jednak ten refleksyjny temat i dziękuję w imieniu Pana za pozdrowienia i ślę ich wzajemnie również moc: „Ilji z pod Wągrowca" — „Śnieżyczce nadmorskiej" — „Ireczce z nad granicy" — „Opuszczonej Owieczce" i „Małej Konwalijce".

TROCHĘ O JESIENI I WESOŁEM OWOCOBRANIU

„Lila Weneda". List Pani utrzymany w tonie wesołym i pogodnym, oddaję do druku, gdyż każdy go sobie chętnie przeczyta:

„Najdroższa! Przyznam się, że podskoczyłam z radości zobaczywszy oddawna oczekiwaną odpowiedź na mój list. A już wątpiłam, czy raczy mi Pani wogóle odpowiedzieć!

Piszę dziś do Pani, bo czuję się w tak radośnie, że muszę się skimś tym nastrojem podzielić. Wiem, że Pani mnie najlepiej zrozumie.

Tak cichutko tu u mnie — tylko gdzieś w oddali słychać równomierny klekot maszyny — kartoflarki. Ach, żeby droga Pani wiedziała, jak tu u nas pięknie! Bliziutko, tuż przy mojem oknie stoi olbrzymi orzech i przy każdem silniejszem podmuchem wiatru bije owocami w szybę okna, a liście cicho szeleszczą i kręcąc się w powietrzu spadają na ziemię. Jakaż piękna jest jesień na wsi! Czarująca i złota. Złota w liściach spadających, w owocu, złota w olbrzymich dyniach, które leżą tu i ówdzie w moim ogrodku warzywnym, a najpiękniejsza w cudownych daljach, które wprost rażą oczy różnorodnością kolorów. To piękno przyrody w jesieni tak cieszy i rozpiera pierś, że chce się śpiewać, tańczyć i przytulić miłośnie cały świat.

Opiszę także drogiej Pani wczorajszy dzień, dzień zrywania owoców w naszym dużym sadzie. Cóż to była za emocja! A ileż śmiechu! Przyjechały do nas dwie ciotuchny, bardzo młode panienki, gdyż obydwie liczą po... czterdziestce. Nazywam je skrycie „Papużki" (ach, gdyby wiedziały, byłoby piekło!) Wyobraź sobie Pani Zofjo, że uparły się same zrywać gruszki. No i odbywało się to przy akompanjamencie strasznych odgłosów i jęku moich kochanych ciotuń. Co chwilę rozlegał się ze szczytu drabiny okrzyk: och, złotko! gałąź się łamie! O moje serce! itd. Choć wiem, że to brzydko, ale nie mogłam się powstrzymać od śmiechu. I powiedz, Pani Zosiu, czy tu u nas na wsi nie pięknie i wesoło?

Kończę jednak mój list i przesyłam pozdrowienia p. Danucie Wyrybkowskiej, „Kalinie" — „Złotemu Promykowi" — „Księżniczce Dari" — „Dusi" — „Jadźce z Kujaw" i „Ord — Omowi".

Teczka Wujka Janusza

POMIMO NAJSZCZERSZYCH CHĘCI

„Ala". Pomimo najszczerszych chęci, nie mogę oddać utworku Pani do druku. Na usprawiedliwienie tego, mogę jedynie przytoczyć Pani pewne zdanie nieznanego mi bliżej autora, który powiedział, że poetą człowiek albo się urodzi, albo nigdy nim nie zostanie. A Pani, jak myśli?

NIE SKORZYSTAMY

P. Jarosław Iks. Prosi Pan, aby się obejść z Jego wierszami po ojcowsku. Cóż kiedy po ich przeczytaniu zgoła nie ojcowskie obudziły się we mnie uczucia. Najchętniej, to strzepałbym Pana porządnie za te kulawe rymy, nazwane szumnie... sonetami. Któż widział kiedykolwiek sonety, składające się z sześciu czterowierszy. Nigdy nie słyszałem o czemś podobnem! Zbytecznem chyba dodawać, że z rękopisów Pana nie skorzystam.

NIE WYSTARCZY!

P. E. Rz. z K. Rozumiem Panią doskonale. Długie, jesienne wieczory dziwnie usposabiają do marzeń i do wypowiedzenia się ze swych uczuć na papierze. A papier potrafi być zawsze cierpliwy! Pozwoli się dowolnie zapisywać, cóż, kiedy to nie wystarczy, aby drukować to, co cierpliwie czyste arkusze przyjmują. Nie wolno, bo wtedy grafomaństwo rozszerzyłoby się w zastraszający sposób. Pani mnie chyba zrozumie, prawda, Droga Panno E?

Przesyłając Pani tych kilka słów, ściskam serdecznie Jej pracowite rączki i dziękuję za przychylne i życzliwe słowa.

DZIĘKUJĘ!

„Przystań". Z noweli nie skorzystamy. W „Jesieni" nie dokończyła Pani wcale myśli, a wreszcie utworów zupełnie brak sensu. Dziękuję za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam.

Raj kobiet



77585 77599

77581 und 77582 77596 und 77597 77584 und 77582

Pod znakiem jesieni

W co się ubrać w pogodny, [illegible] jesieni? To pytanie nasuwa się nieraz paniom, które wybierają się na dłuższe spacery. Odpowiedzieć nietrudno. Jeżeli jest bardzo ciepło, ubieramy się w wełniane sukienki, spódniczki i ciepłe bluzeczki, a gdy chłodniej, zakładamy żakiety. Jakie zaś fasony sukienek, bluzeczek i kostjumów są modne i lansowane w bieżącym sezonie, powiedzą nam podane dzisiaj modele, które niżej objaśniamy.

77 581 Żakiet z beżowej, włochatej wełny z szerokiemi wyłogami, zapinamy na cztery guziki.

77 582 Spódniczka z grubej, wełnianej krepy z paskiem, do którego są przytwierdzone kieszenie.

77 596 Żakiet o kroju poszczuplającym z z biało-czarnej pepitki.

77 597 Czarna wełniana spódnica urozmaicona z przodu dwoma klinami.

77 584 i 77 582 Skromna sportowa bluzeczka z jasno-zielonego jedwabiu lub trykotu.

77 585 Szeroki żakiet z wełny w prążki beżowo-bronzowe.

77 599 Miła bluzeczka z deseniowej matowej krepy.

Ogromnie „nowoczesna staruszka"

I gdybyż się to jeszcze zdarzyło we Francji, prekursorce postępów wszelkich mód i liberalizmu. Ale nie: w Londynie, w mieście dobrych manier, sztywnego fasonu i zgorszonych okrzyków „Shoking" o byle głupstwo!

Oto na bardzo wystawnem przyjęciu u bardzo lordowskich mości — w obliczu całej śmietanki i elity „wielkiego świata" wystąpiła siwiuteńka, a bardzo arystokratyczna starsza pani, ubrana poprostu w... trykot gimnastyczny — i wykonała szereg ewolucyj, dla wykazania, do jakiego stopnia, zawdzięczając codziennym ćwiczeniom, zachowała dotychczas sprężystość ruchów, zręczność i siłę mięśni.

Występ — jeśli chodzi o propagandę — być może, nad wyraz pedagogiczny. Jednak trzeba być bardzo „moderne", żeby wymyśleć coś podobnego. Okazuje się jednak, że wszyscy w tem gronie byli moderne, bo nikt się nie zgorszył, przeciwnie, powitano babcię z entuzjazmem.

Zuch babunia! Ale wątpię, czy należy zalecać naśladownictwo...

Ze świata

40 lat wśród Indjan

W ostatnich miesiącach polscy wiertacze i robotnicy, zatrudnieni w licznych kopalniach nafty wielkiego zagłębia Comodoro Rivadavia, otrzymali duszpasterza-Polaka. Jest nim 70-letni staruszek, ks. Dąbrowski, który od 40 lat pracował jako misjonarz wśród szczepów indjańskich Patagonji, szerząc oświatę i religję, otoczony powszechnym szacunkiem i głębokiem przywiązaniem swych parafjan. Ks. Dąbrowski przez cały czas swej pracy misyjnej prawie wcale nie spotykał się z Polakami, pracując na najbardziej wysuniętych na południe placówkach cywilizacyjnych. Poznał on doskonale liczne narzecza indjańskie, natomiast językiem polskim władał już słabo. Obecnie, obcując z rodakami, ma możność przypomnienia sobie języka ojczystego, którego tak długo nie miał sposobności używać. Comodoro Rivadavia, położone jest nad brzegiem Atlantyku w środkowej Patagonji argentyńskiej, jest największym ośrodkiem naftowym w Argentynie. Mieszka tam około 1.000 Polaków.

RADY PRAKTYCZNE

Pranie w surowych ziemniakach

Wszelkie kolorowe, bawełniane tkaniny i batysty o drażliwych kolorach piorą się najlepiej w tartych ziemniakach. Obrane ziemniaki utrzeć na tarce, dolać zupełnie letniej, miękkiej wody i przepierać je dwa razy w tej niezbyt gęstej masie. Po wypraniu zanurzyć wyprane kawałki na chwilę w cebrzyku wypełnionym wodą, tak aby łupiny ziemniaczane spłynęły, wykręcić i powiesić w cieniu. W ten sposób wyprane tkaniny będą mieć pozór nowości.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 20. X. do dnia 26. X. 1935 r.

Niedziela, dnia 20 października 1935 r.

9.00 Audycja poranna 10.00 Nabożeństwo z Krakowa 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Krakowa. W przerwie o godz. 13.00 fragment słuch. „Głaz graniczny" 14.00 Fragment z książki „Biali i czarni" 14.20 Muzyka z płyt 15.00 Godzina rolnika 16.00 Audycja dla dzieci z Wilna 16.15 Koncert Zespołu Stefana Rachonia 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Mała Orkiestra Polskiego Radja 17.40 Migawki regjonalne 18.00 Piosenki — śpiewa Maryla Karwowska 18.30 Słuchowisko „Sekretarka niewidomego" 19.25 Wiadomości sportowe 19.45 Co czytać? 20.00 Koncert 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik Wieczorny 21.00 Wesoła Lwowska Fala 21.30 W Świętokrzyskich Górach — feljeton 22.00 Orkiestra Tadeusza Seredyńskiego 23.05 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 21 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.45 Mała orkiestra P. R. 15.30 Muzyka lekka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Tercety wokalne i pieśni 16.45 Skecz — „Miłość i bridge" 17.00 „Nasz klijent — nasz pan" — pogadanka 17.15 Wiersze Jana Kotta 17.20 Zespół Jazzowy Henryka Marmora 17.45 „Polskie rybołóstwo morskie w ostatnich latach — pogadanka 17.55 Kwintet fortepianowy e-moll — Różyckiego 18.25 Wiersze dla dzieci 18.45 Ciekawe transkrypcje znanych utworów 19.00 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20 30 Muzyka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Recital skrzypcowy 21.30 Wileńska młodość Juljusza Słowackiego 22.00 Koncert symfoniczny 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 22 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.35 Zespół salonowy Pawła Rynasa 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka z płyt 16.15 Zespół Zygmunta Grossmana 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Film rysunkowy — odczyt 17.15 Koncert z udziałem St. Podgórskiego 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Recital fortepianowy 18.30 „Warszawa w literaturze i anegdocie" — szkic literacki 18.45 Muzyka lekka 19.00 Wiadomości rolnicze 19.30 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 19.58 Koncert europejski z Wiednia 22.05 Dziennik wieczorny 22.15 Obrazki z Polski współczesnej 22.20 Fragmenty z „Złota Renu" — Wagnera 22.45 Europejczyk się bawi — feljeton 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 23 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Maglowanie i prasowanie bielizny — Pogadanka 12.30 Muzyka lekka 15.40 Zespół Niny Mańskiej 16.00 „Kilof bije — węgiel pryska" pogadanka muzyczna dla dzieci 16.20 Pieśni w wykonaniu Wandy Ruśkiewiczówny 16.45 Rozmowa ze słuchaczami radja 17.00 Co to jest dyskusja i jak ją trzeba prowadzić — odczyt 17.20 Recital skrzypcowy Józefa Kamińskiego 17.50 Świat się śmieje 18.00 Muzyka lekka 18.30 Skrzynka ogólna 18.45 Soliści na płytach 19.00 Sadownictwo na Wołyniu 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 VIII audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.30 Szkic literacki dr. Tadeusza Boy-Żeleńskiego 21.50 Tarczyca i jej hormon 22.00 Koncert religijnej muzyki żydowskiej 22.30 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 24 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Poranek dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Sonata d-moll Bacha 15.30 Muzyka lekka 16.00 Pogadanka Starego Doktora 16.15 Recital fortepianowy 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Kolonje angielskie i francuskie w Afryce 17.15 Zespół Adamskiej-Grossmanowej 17.50 Tatry i Podhale — o książce Rafała Malczewskiego 18.00 Recital fortepianowy 18.45 Tola Mankiewiczówna i Mieczysław Fogg 19.00 Kącik dla młodzieży wiejskiej 19.35 Wiadomości sportowe 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Słuchowisko „Kapitan statku Siweking" 21.35 Nasze pieśni 22.00 VI-ty koncert historyczny z Krakowa 23.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 25 października 1935 r.

6 30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Fantazje i fragmenty z oper 13.30 Z rynku pracy 15.30 Muzyka lekka 16.00 Pogadanka dla chorych 16.45 Chwilka pytań 17.00 Reportaż z Polskiej Wystawy Pływającej w Chinach 17.15 Wiersze o dzieciach Juljana Eysmonda 17,20 Recital Ady Lenczewskiej-Sławińskiej 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Koncert kameralny 18.45 Adam Aston i Mary Didur-Kałuska płyty 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami 20.00 Aktualny monolog 20.10 Muzyka filmowa 21.00 Dziennik wieczorny 21.10 Obrazki z Polski współczesnej 21.15 Koncert symfoniczny o godz. 22.30 odczyt p. t. „Obecny stan misyj katolickich na świecie" 22.45 Muzyka lekka i taneczna

Sobota, dnia 26 października 1935 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert południowy z udziałem solistów 14.30 Muzyka lekka 15.00 Opowiadanie p. t. „Goście" 15.30 Fanfara polska 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Recital skrzypcowy 16.30 Skrzynka techniczna 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Polska Wystawa pływająca w Japonji 17.45 Świat naszych zwierząt — pogadanka 17.50 Mir i okolice 18.00 Słuchowisko dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Muzyka szwedzka 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Gdyśmy byli studentami — lekka audycja muzyczna 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Humor regjonalny 22.00 Koncert popularny 23.05 Muzyka taneczna.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 58

Siedziała na środku sali, która była jej pracownią, na małej estradzie, do której prowadziły trzy schodki, na krześle, zrobionem z ludzkich kości. U jej nóg rozpostarty był kobierzec, po którym pełzał wąż.

Pani Gautier odziana była w długie, spadające, obszerne szaty z czarnego jedwabiu, na których tu i ówdzie były złotem haftowane tajemnicze znaki. — Bujne, czerwone, jedwabiste włosy, które na ramiona spadały, spętane były opaską, na której również hieroglify widniały.

Lister przebiegł wzrokiem całą salę, — ściany jej były wybite czarnym jedwabiem, — a po sali rozstawione były godła śmierci. Tam w jednem miejscu widać było szkielet kościany w całej swej odrażającej postaci, — w drugiem trumna — w trzeciem znów miejscu biały krzyż, jakby wprost z mogiły jakiejś przeniesiony, — na podłodze były porozsypywane kości ludzkie, — odór grobowy wypełniał całą salę, — krótko mówiąc, wszystko tu przypominało znikomość wszystkiego, co ludzkie — nicość i śmiertelność — los, który nas wszystkich czeka, — przemienienie się w proch.

Na Listerze jednak nie robiło to wielkiego wrażenia, — on wiedział dobrze, że to wszystko, co widział, było sztuczne i umyślnie na ten cel urządzone, by działać tem silniej na wyobraźnię osób udających się do pani Gautier. Nie, — coś innego zajęło go nadzwyczaj, — twarz wróżki, te rysy ostre, wyglądające z obramowania bujnych jej włosów, — ta twarz, która budziła w nim jakieś dziwne wspomnienia, — dawno uśpione i zapomniane.

Zdawało mu się, że twarz tę już gdzieś raz widział, że patrzał już w te ciemne, ogniste oczy, że te usta zamknięte przemawiały do niego.

„Głupstwo", pomyślał, „gdzieżbym ją miał widzieć, — złudzenie tylko, — kto wie, skąd ta wietrznica zaszła do Paryża. Nie traćmy czasu i nie zapominajmy o celu, który nas tu sprowadził: zdemaskowanie tej oszustki!"

Zwolna podniosła się pani Gautier z krzesła. I gdy stanęła wyprostowana w całej swej okazałości, — pełna siły i młodzieńczej niemal jeszcze piękności, odniósł detektyw wrażenie, że przypuszczenie jego pierwsze przecież nie bez podstawy, — nie, on tę kobietę musiał raz trzymać w swoich objęciach, — ta falująca pierś, te alabastrowe ramiona, przez tiulowy, czarny jedwab przeglądające, — ale gdzie i kiedy?

„Pani przyszła", dała się słyszeć wróżka, „by się dowiedzieć odemnie o swoim losie. Znaki ogniste przestrzegały panią przedtem, — nie usłuchałaś jednak tego i przekroczyłaś progi mej świątyni. Pytam się więc po raz ostatni: Chcesz rzeczywiście podnieść zasłonę, przysłaniającą przyszłość?"

„Tak, chcę!" odrzekł Lister, zmienionym, naśladowanym głosem kobiecym.

„Jeżeli tylko prosta ciekawość cię tu sprowadziła", ciągnęła dalej wróżka, „uczynisz rozsądniej, jeżeli jak najspieszniej cofniesz się. Odsłaniam przyszłość tylko tym, których sprowadza do mnie ciężki ból, niedola, — tym, co błądzą bezradnie po labiryncie życia, — tym tylko próbuję podać nić, którąby ich wyprowadziła z tej ciemności."

„Pani", rzekł detektyw, opuszczając głowę na piersi i przystępując do niej, „jam również nieszczęśliwa istota."

„Nieszczęśliwa? Witaj mi! Opatrzność obdarzyła mię proroczym wzrokiem Kassandry, bym nieszczęśliwym w przyszłości czytała. Podaj mi rękę!"

Nie bez pewnej niechęci ściągał detektyw rękawiczkę z prawej ręki, — tego obawiał się. Miał wprawdzie bardzo delikatne, białe i starannie pielęgnowane ręce, — małe do tego, — wprost kobiece, — mimo to zdjął go niepokój, czy też wróżka nie pozna, że ma mężczyznę przed sobą.

Niepokój jego był jednak zbyteczny. Pani Gautier spokojnie, — żaden muskuł nie drgnął na jej twarzy, — wpatrywała się w linje jego ręki.

„Pani przeszłaś bardzo wiele", rzekła wróżka niskim głosem, — „kochałaś wiele, oszukiwano cię, ale i tyś sama oszukiwała!"

„To prawda!" pomyślał detektyw.

„Pani masz męskiego ducha, silną rękę, — przygniotłaś niejednego tak, że się podnieść nie zdołał. Ciekawe, rzeczywiście, bardzo ciekawe, — raz tylko w życiu widziałam taką rękę, ale to już dawno temu!"

„Pani serce cierpi", ozwała się na nowo po chwili wróżka, „tu ta wielka linja życia potrójnie przecięta, — straciłaś istotę, którą kochałaś. A jednak, — nie, widzę dokładnie, nie śmierć ci ją wyrwała, — kochałaś nieraz, — ale raz tylko jeden prawdziwie i szczęśliwie!"

Detektyw nie odpowiedział nic, — nie chciał może sam przed sobą przyznać się, jak wielką prawdę słowa wróżki w sobie zawierały, — jak bardzo raną zabliźnioną serca szarpnęły.

Tak, — miała słuszność, — przyszłości wprawdzie przed nim dotychczas nie odsłoniła, ale odgadła przeszłość.

„Tak, pani, prawdą jest, co pani mówi!" rzekł Lister po dłuższej pauzie, „straciłam to, com kochała, — i przyszłam do pani, by się dowiedzieć, czy jeszcze żyje."

Wróżka skrzyżowała ręce na piersi i zdawała się z minutę całą namyślać.

„By na to pytanie odpowiedzieć, musiałabym przenieść się w ten stan, który mi wzrok drugi otwiera, — widzę wtedy rzeczy, które leżą poza granicami wszystkiego, co ziemskie, — patrzę wtedy jasno w przyszłość — nic mi nie jest tajnem, — patrzę nawet w groby, — nic nie ujdzie mojemu wzrokowi. — Ale w tej chwili czeka jeszcze jedna osoba, która przyszła do mnie po radę. Nie chcę cierpliwości jej wystawiać na próbę. Jeżeli pani zechce, proszę wrócić do tego samego gabinetu, w którym pani przedtem czekała, — skoro powiem temu panu to, co wiedzieć chce, zawezwę panią i wtedy możesz liczyć napewno, że życzenia twoje się spełnią."

„Doskonale!" pomyślał Lister, który w tej chwili także cały plan sobie ułożył, „w ten sposób uda mi się posłyszeć, co ona hrabiemu Zamskiemu powie. Życzenia moje spełnią się, jakby na zawołanie."

„Dziękuję pani za łaskawą gotowość okazaną. Niech pani będzie przekonana, że ją odpowiednio wynagrodzę."

„Proszę, pani", odparła wróżka, „u mnie nie ma żadnych stałych cen. Każdy płaci, co uważa za stosowne, — kto zaś uważa, że to, com mu odkryła, nie warte zapłaty, nie zatrzymuję go i nie upominam się ani słowem. A teraz zechce pani powrócić do gabinetu."

W tej chwili światło zgasło i ciemność zapanowała w pokoju.

Zarazem ręka niewidzialna wzięła go za ramię i pociągnęła za sobą.

Po chwili Lister znalazł się napowrót w gabinecie pod numerem siódmym, — drzwi zamknęły się za nim, — był znowu sam.

Natychmiast podbiegł do przeciwległej ściany i przyłożył ucho do niej.

Usłyszał, jak w sąsiednim pokoju ktoś kroczył niecierpliwie, — nie wątpił, że to był Kazimierz hrabia Zamski.

Nagle ucichł odgłos kroków, — detektyw domyślał się, że mu w tej chwili ukazały się znaki ogniste.

Jeżeli Lister chciał coś z rozmowy pani Gautier z Kazimierzem podsłuchać, to był czas najwyższy do działania.

Odsunął więc znowu sofę, pokręcił korbą, ale tą razą drzwi się nie otwarły.

„Tam, u licha, zamknęli mnie, — sprytna baba, nie daje się złapać. Ale to nic, mądraś ty, — mądry i ja. Mam przy sobie, czego do otwarcia drzwi potrzeba, — obaczymy, czy mi się zamek oprze."

Wyciągnął wytrych z kieszeni, — wetknął go w szparę drzwi, — w pół minuty otwarły się drzwi, — i detektyw znalazł się napowrót w ciemnym korytarzu.

Cicho i przezornie postępował naprzód, — każdy krok ważył, obawiając się, czy nie napotka jakiej przeszkody, — pułapki, którąby na drodze ewentualnie zastawiono. Na szczęście, nic z tego nie było, — bez przypadku doszedł do jedwabnej portjery, która go od salonu przyjęć wróżki dzieliła.

Ostrożnie podjął nieco portjerę z boku i zaglądnął do pokoju, w którym wróżka z hrabią sam na sam się znajdowała.

LXXXVI.

Drugi wzrok

Piękna wróżka zasiadła znowu na krześle, — u stóp schódków stał hrabia Kazimierz.

Oblicze Kazimierza było nadzwyczaj blade, — wzburzenie malowało się w całej jego postaci, — zdawało się, jakby całym jego smukłym organizmem owładnęło drżenie.

„Co sprowadza pana do mnie?" rzekła ponurym głosem pani Gautier, „przestrzegam go naprzód przed tem, co przyszłość kryje w swem tajemni-

czem łonie. Opatrzność dobrotliwa przesłoniła zasłoną, by nie widzieli ludzie, co ich kiedyś czeka."

„Pani", rzekł hrabia stanowczym głosem, „nie przychodzę, by się o mojej przyszłości dowiedzieć, — nie ciekawym jej wcale co do mojej osoby. Bo kto przeżył tyle, co ja, nie spodziewa się od przyszłości więcej niczego. Ale dziwny los, któregom doznał, spowodował mię do przekroczenia progu domu pani. Opowiadano mi o pani, że potrafisz nietylko rozjaśniać ciemność i rozwiązywać zagadki, przekraczające granice ludzkiego pojęcia ale i zwyczajne sprawy ludzkie rozwiązujesz rozumem, który ogólny podziw wzbudza, — krótko mówiąc, przyszedłem prosić panią nie o wróżbę, — ale o radę."

„Rady pan chcesz mojej? Dobrze, niechaj tak będzie, — mów pan."

„Czy mogę liczyć na dyskrecję pani?"

„Jak na własną", odparła pani Gautier, „do mnie ze wszystkich stron znoszą ludzie swe troski i bóle, — tajemnic posiadam mnóstwo, — ludzi ze sfer od najniższej do najwyższej, — ale w mej piersi grób, — wszystkie bowiem tajemnice, spoczywają w niej raz złożone, — nie ruszane. Grób ten otwiera się, by przyjąć do siebie nową tajemnicę, ale nigdy, by jedną z nich zdradzić. Zanim pan zwierzysz się przedemną, pozwól, że ci dam wpierw próbę mej sztuki!"

Mówiąc to, zeszła wróżka, przestąpiwszy węża, na dół po schodach i stanęła tuż przed Kazimierzem, — przyłożyła ręce swoje do jego skroni i spojrzała prosto w oczy.

Kazimierz doznał w tej chwili dziwnego uczucia. Zdawało mu się, że ręce wróżki drżały a i jemu zdawało się, że kobietę tę już gdzieś i kiedyś widział, — że obcą mu nie była, — ale nie, — te czerwone włosy, twarz okalające, — tych nie przypominał sobie. Napróżno grzebał we wspomnieniach, — pamięć odmawiała mu posługi.

„Wiem wszystko", mówiła z cicha i powoli wróżka, „los otoczył cię bogactwami, przepychem, — ale nie oszczędził ci ciężkich i bolesnych przejść w życiu."

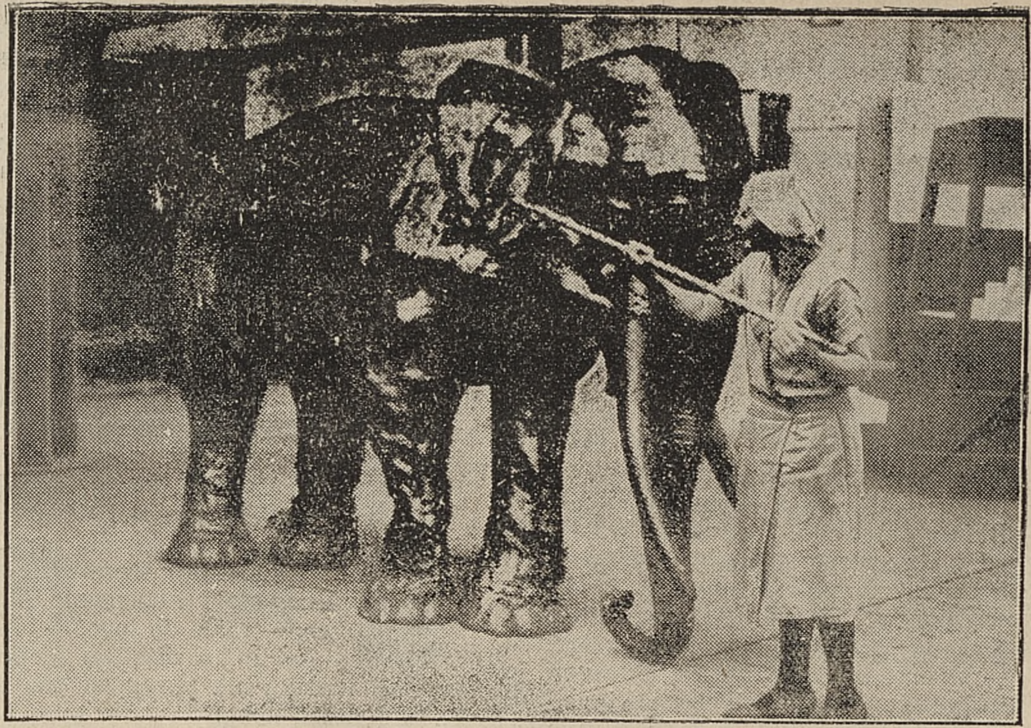
„Widzę ponury dom z celami, — cierpiałeś, — ciężkie podejrzenie ciężyło przez jakiś czas na tobie, żeś zbrodnię popełnił, — niewinność zwyciężyła jednak. Promień światła rozjaśnił ciemności, — wolny jesteś od wszelkiego zarzutu!"

Kazimierz chciał się o krok cofnąć, ale pani Gautier nie puszczała głowy jego — trzymała ją ciągle jeszcze i patrzała prosto w oczy.

„Śmierć zabrała ci dobrego przyjaciela", ciągnęła dalej wróżka, „musiał to być starszy człowiek."

„Mój ojciec", pomyślał Kazimierz, „ona rzeczywiście wie wszystko."

„Ktoś cię kocha", mówiła dalej wróżka, cedząc niemal każde słowo, zwolna a ostrożnie, jakby badała wrażenie słów swoich, „piękna, ciemnowłosa kobieta leży u twych nóg, — raj otwiera się przed tobą, — ale strzeż się wejść do niego. Widzę węża!"



W Berlinie odbędzie się wielka wystawa hotelarzy i cukierników. M. in. będą reprezentowane dwa olbrzymie słonie z... tektury, które tak samo trzeba oczyszczać z brudu, jak i żywe.

O kim ona mówiła? Na odpowiedź Kazimierz długo czekać nie potrzebował.

„Kobieta, którą związałeś z sobą", mówiła wróżka z patosem, „nie jest godną twej miłości, — nie ufaj jej, — nie spuszczaj jej z oka! Chociaż ci przysięgła miłość, chociaż ci się na całe życie oddała, — strzeż się jej — niech głowa twoja nie spocznie nigdy na tem łonie, — bo w tem łonie bije zdradliwe serce."

„Nie rozumiem tego", rzekł półgłosem Kazimierz, „o kim pani mówi?"

„Nie wiem sama", odparła Sybilla, „mówię to, co mi wizja poddaje, co mówić w tej chwili muszę. Jesteś spętany z tą kobietą, — węzeł was łączy. Uważasz go za nierozerwalny, — ale to nieprawda! Pęta te same przez się opadną, — bo są splecione z kłamstwa i oszustwa."

„Lola", przebiegło przez myśl Kazimierzowi, „ona mówi o Loli, o mojej żonie. — Ale jakiem prawem śmie ją zwać fałszywą i niewierną, — dlaczego węzły łączące nas, a które kapłan w kościele pobłogosławił, miałyby być splecione z kłamstwa i oszustwa? Nie i jeszcze raz nie, — ta wróżka kłamie, nie wierzę jej ani słowa."

„A teraz powiem ci", ciągnęła dalej wróżka, opuszczając ręce na dół, „co cię tu do mnie sprowadza."

„Jakto, pani już wie? Czy naprawdę posiada pani dar czytania w sercach ludzi? — odgadywania tego, co drudzy, chroniąc przed wzrokiem świata, zamykają w piersi swojej?"

„Zobaczymy, czy taki dar posiadam", odparła wróżka z uśmiechem, „pozwól, że ci rękę na sercu położę."

Kazimierz rozpiął surdut.

Wróżka powiodła ręką po jego piersi i zatrzymała ją w okolicy serca.

Kazimierzowi zdawało się, jakby od tej ręki płomienie buchały.

I uczuł żywsze bicie serca od dotknięcia gorącej ręki tej rozkosznej kobiety. Gdzie on ją widział, — napróżno myśli swoje wysilał.

„A teraz patrz mi prosto w oczy", rzekła wróżka, — „rzucę teraz spojrzenie w głąb twojej duszy! — A, widzę w niej obraz dziewczyny, — nosisz go ustawicznie z sobą, — myśli twoje oplatają ją aureolą uwielbienia, — ty ją kochasz."

Kazimierz milczał. Rumieniec jednak, którem się oblicze jego oblało, był aż nadto wyraźną, potakującą odpowiedzią.

„Czy mam ci powiedzieć, kto jest ta dziewczyna", cofając rękę mówiła pani Gautier, „biedna, nieszczęśliwa, która dla ciebie dużo wycierpiała, — dziwny przypadek sprowadził kiedyś was razem — i ona pokochała cię, jak nigdy jeszcze kobieta mężczyzny nie kochała, — całą potęgą niewinnego, dziewiczego serca! — Ale i tyś poniósł dla niej ofiarę! — Dziś jednak musisz się ukrywać z miłością ku niej, jak ze zbrodnią jaką, boś się związał z drugą. Mimo to myślisz codziennie o tamtej biednej, nieszczęśliwej, zaginionej! Marzysz o niej i w dzień i we śnie, — cierpisz, cierpisz bardzo, — ja to widzę."

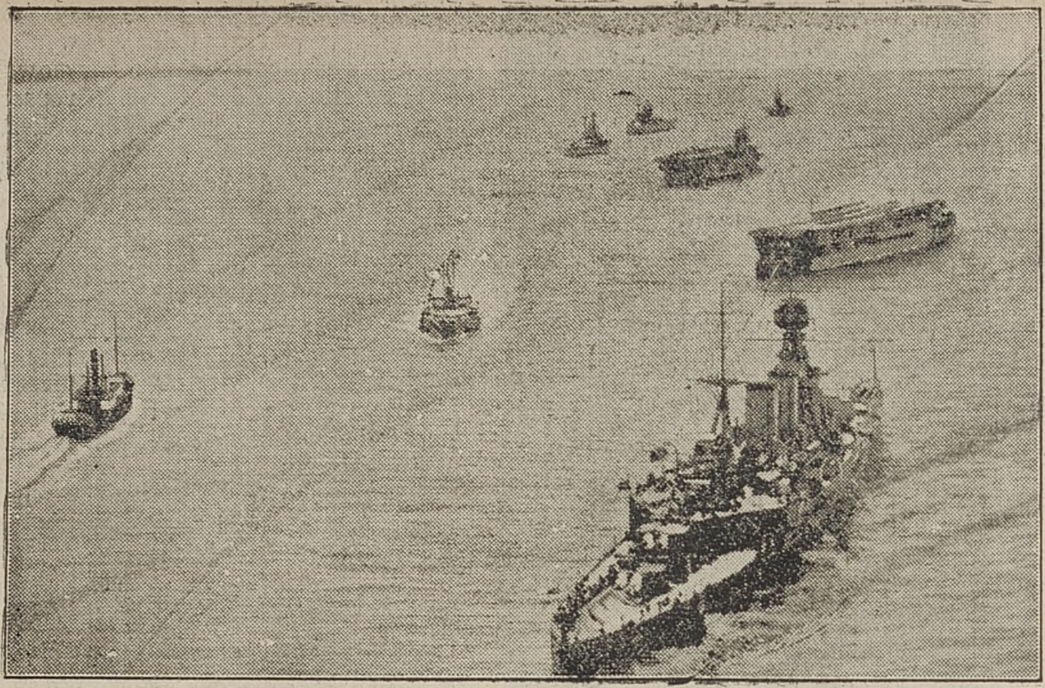
„Tak, ja cierpię!" jęknął Kazimierz i zasłonił oczy rękami, „o gdyby pani wiedziała, jak wielkim jest mój ból!"

„Wiem! Ale tyś przecie mężczyzną, — czemu nie zdobędziesz się na energię i nie potargasz węzłów, które cię wiążą? — Czemu nie wracasz do tej, którą kochasz? — Kto kocha, — ten powinien mieć także na tyle siły, by o miłość swą móc walczyć!"

„Przebóg", zawołał Kazimierz, „cobym ja dał za to, — walczyłbym, — żadna ofiara nie byłaby dla mnie za wielką, — oddałbym pół mego życia, by zdobyć to, czego dusza łaknie. — Niestety, — ona w grobie, — odzyskać jej nie mogę, pocóż więc drugą, od siebie odpychając, robić nieszczęśliwą."

„Dla chcącego nic niema niemożliwego!" rzekła wróżka.

„Pani", drżącemi usty mówił Kazimierz, „dotknęłaś bolejącej strony mej duszy, — i to jest cel, w którym zwró-



Z dalekich wypraw w zamorskie kraje wracają okręty jeden po drugim. Na bezkresnych falach morza, wyglądają jak zabawki rozrzucone kapryśną ręką dziecka.

ciłem się do ciebie. Posłuchaj mię, co ci opowiem. Prawdą jest, żem związany z kobietą, której nigdy rzeczywiście nie kochałem, — wszystkie moje myśli, uczucia, całe moje jestestwo należą do innej, — a tę inną wydarto mi. A gdym ją ujrzał ponownie, — to było wtedy, gdy leżała bez życia, — martwa, — żaden oddech nie poruszał więcej jej dziewiczej piersi. Całowałem jej usta, ale były jak z lodu. Krótko mówiąc, — tę, co kochałem nad życie, — widziałem w trumnie!"

„Jako trupa?" pytała pani Gautier.

„Tak, pani — trupa jej kazałem zanieść do lekarza. Prosiłem go, by mi wyjął jej serce, — dla mnie, na pamiątkę. Lekarz dał mi też jej serce, — a śmiertelne szczątki mej lubej spoczęły w ziemi. — Przed niedawnym czasem jednak miałem ważną przyczynę, kazać otworzyć trumnę, — a gdy się to stało, zrobiłem odkrycie, że zamiast trupa, kamienie w niej były."

Na ustach pięknej kobiety zaigrał lekki uśmiech, — nie trudno jej było odgadnąć, że Kazimierz został oszukany.

„Od tej chwili staczam ciągłą walkę ze sobą samym. Żyję podwójnem życiem. Jeden głos w duszy mojej woła: ona żyje, znajdziesz ją jeszcze, — następna chwila przewala kamieniem powstającą z grobu nadzieję i mówi: nie łudź się, nie ujrzysz jej więcej, — umarła na wieki!

„Co dziwniejsza jednak", ciągnął Kazimierz z coraz bardziej wzrastającem rozdrażnieniem, „mamy jawny i niezbity dowód, jakoby żyła. Pisała list i to daleko później, jak ją w trumnie widziałem. Pani, myśli moje plączą się coraz bardziej, — czuję, że mnie zwolna obłęd ogarnia. Jeżeli mi się w krótkim czasie nie uda, rozwiązać tej zagadki, zginę marnie! W pani moja jedyna i ostatnia nadzieja, — nie opuści mię, pani?"

Łzy strumieniem puściły się z oczu Kazimierza, — wzruszenie, jak się zdawało, udzieliło się nawet pięknej wróżce.

„Nie, nie opuszczę cię!" odparła stanowczym głosem, „co w moich siłach, to zrobię, by cię wyrwać z tego błędnego koła strasznych wątpliwości. Ale powiedz mi to jedno: czemu nie udałeś się do tego lekarza, który ci dał jej serce, dlaczego nie zażądałeś od niego wyświetlenia tej ciemnej sprawy?"

„Byłbym to uczynił, — od niego niezawodnie byłbym się dowiedział prawdy. Ale cóż, — los, który zaciężył obuchem nademną, uniemożliwił mi to. Lekarz wyjechał na krótki czas zagranicę, — i stamtąd przyszła nagle wieść o jego śmierci. — Później okazało się, że to była nieprawda. Widocznie jakiś szatan w ludzkiem ciele wpadł na ten nieludzki pomysł, by matce jego napędzić strachu. Skutek był dobrze obliczony. Stara kobieta przerażona wieścią o zgonie jedynaka, padła trupem. Syn na wieść o tem chciał pospieszyć najbliższym pociągiem na pogrzeb matki — do Paryża. — A teraz posłuchaj pani dobrze, co się stało, — coś dziwnego, czego ja zrozumieć ani pojąć nie mogę."

Z widocznem naprężeniem spoglądała wróżka na Kazimierza.

„Młody lekarz", ciągnął dalej drżącym głosem Kazimierz, „opuścił miejscowość, w której chwilowo przebywał.

„Faktem jest, że wsiadł do pociągu, który go miał zawieźć do Paryża, bo wierny i oddany sługa naszej rodziny odprowadził go do pociągu. — Pewnem jest dalej, że dojechał do Kolonji, miasta niemieckiego. Wiadomem jest również, że jechał pierwszą klasą pospiesznego pociągu Berlin—Kolonja. — W Kolonji wysiadł, prawdopodobnie, by spożyć śniadanie, bo przystanek trwał całą godzinę.

„Czy był rzeczywiście w restauracji, czy dalej odjechał, tego nie wie nikt! To pewna jednak, że do Paryża nie przybył i że go nie widziałem. Zrozumie mię teraz pani, żem się więc od niego nie mógł niczego dowiedzieć."

Wróżka zdawała się zostawać pod wrażeniem tego, co właśnie słyszała, — przymknęła na pół oczy, zmarszczki wystąpiły na czole, — rozmyślała.

Nagle ozwała się:

„Posłuchaj, — jeżeli od ludzi nie możesz się dowiedzieć, czy dziewczyna, którą kochasz i którą postradałeś, żyje jeszcze, — zapytajmy Opatrzność. — Ufasz mojej sztuce na tyle, byś mi bezwarunkowo zawierzył?"

„Pani!" zawołał Kazimierz, „ufam pani, bo ufać muszę. Daremnie u innych ludzi szukałem pomocy, — nadarmo szukałem rozwiązania zagadki, — nie znalazłem jej. — Opowiadano mi, że pani jesteś wyposażoną w nadludzkie siły i wieszcze dary. Przyznam się pani otwarcie, żem nigdy w to nie wierzył. Ale teraz chwytam się, jak tonący źdźbła. A że mi nic innego nie pozostaje, że nie mam skądinąd lekarstwa na mój ból, na me cierpienia, — przyszedłem więc do pani!"

„Przekonasz się", rzekła wróżka, „że ci prawdę o mnie opowiadano. Zaklnę teraz Nieba, by nam przyszły z pomocą.

„Jeżeli dziewczyna żyje jeszcze, w takim razie, bądź pewny tego, że ją zobaczysz. A jeżeli rzeczywiście umarła, wtenczas i ja ci nic nie pomogę, — oszustką nie jestem, — wskrzeszać umarłych nie potrafię. — Jeden był tylko, co kładł rękę na umarłego mówiąc: „Wstań i chodź!" — A umarły wstał i poszedł. — Lecz któżby się śmiał z Nim mierzyć! Chyba obłąkany lub oszust! — A teraz cierpliwości na kilka minut, — muszę poczynić pewne przygotowania, zaraz jednak jestem z powrotem."

Wróżka odwróciła się, chcąc się oddalić.

Kazimierz drżącą ręką powstrzymał ją.

„Słówko tylko, pani", rzekł błagalnym głosem, „zaklinam, posłuchaj mię. Jeżeli owa nieszczęśliwa rzeczywiście bawi między żywymi, czem się łudzić nie mam odwagi, jakżeż byłoby to możebnem, by pani mogła pokazać mi ją teraz? Jej tu niema przecież, — może nawet nie w Paryżu, ani też wogóle we Francji! Nieba tylko wiedzą, dokąd ją los zagnał."

Wróżka wstrząsnęła głową.

„Jeżeli żyje — jestem w stanie ukazać ci ją w obrazie."

„W obrazie ją widzieć? — jej cudowne rysy oglądać? — O pani, jeżeli to zdolasz, wlejesz balsam do mej strapionej duszy. Ale nie, — ja w to wierzyć nie mogę, — cudów niema na świecie, — a pani nie potrafisz, jak wogóle nikt na ziemi, przywoływać duchów."

„Powiedziałeś sam, że mi ufać chcesz", rzekła pani Gautier, „wierzże mi tedy! Bo bez wiary twojej i ufności — trud mój bezowocny."

W następnej chwili pomknęła i znikła ze sali. Kazimierz nie mógł nawet zdać sobie sprawy, którędy wyszła, bo nie widział, by się jakie drzwi otwierały.

Sam był więc, — całą potęgą swej woli próbował zapanować nad sobą, — błyskawiczne myśli przebiegały mu przez mózg, oczekiwanie tego, co ma się ukazać, utrzymywało jego nerwy w szalonem naprężeniu.

A podczas tego, jak Kazimierz w drżącym niepokoju chodził po salonie, za jedwabną portjerą stał ciągle jeszcze Lister, detektyw.

Ani jedno słowo między wróżką a hrabią wymienione, — nie uszło jego uwadze. Ciekawe rzeczy słyszał. On wiedział dobrze, kto jest ta, której Kazimierz szukał, i co do której nie mógł się z myślą oswoić, że nie żyje. Ale i on sam, detektyw, — był najmocniej o tem przekonany, że Anielcia nie żyje. Widział ją przecież także w trumnie, pochowali ją przecież obydwaj Pifferonowie na cmentarzu Montmartre. List z podpisem Anielci, o którym Kazimierz wróżce opowiadał, uważał za głupi żart albo jako środek jakiegoś zbrodniarza, by wymusić pieniądze.

Ciekawy był teraz podwójnie, dowiedzieć się, jak to wróżka zrobi z tym obrazem, co go ma hrabiemu pokazać. Wydawało mu się to bezwarunkowo niemożliwem! Najpierw wróżka nie znała pewnie nigdy Anielci, — nie mogła więc mieć jej obrazu, który przez aparat powiększony byłaby w stanie pokazać hrabiemu. W jaki sposób więc wywoła złudzenie optyczne?

Detektyw odsunął jeszcze trochę więcej kotarę, — teraz musi widzieć wszystko, — żaden ruch wróżki nie ujdzie jego uwadze — tak myślał on.

Z drugiej strony musiał Lister przyznać sam sobie, że pani Gautier była niezwykłą kobietą. Na każdy sposób wiedziała więcej, niż zwyczajni śmiertelnicy i posiada tajemnice, które tylko wtajemniczony mógł znać.

Ale jedna rzecz w powiedzeniu pani Gautier zaintrygowała go. — Odgadł, że wróżka miała na myśli Lolę, przestrzegając hrabiego przed fałszywą, niewierną kobietą.

Z tego wnosił, że pani Gautier musiała mieć powód nienawidzieć Loli. Ale w czem go szukać, — dlaczego podjudzała formalnie hrabiego przeciw jego własnej żonie?

Byłoż to możebne, że te dwie kobiety się znały kiedyś?

Detektyw postanowił sobie, czynić poszukiwania w tym kierunku, — chciał Lolę strzec przed tą nieprzyjaciółką.

Gdy Lister oddawał się takim myślom, wtem nagle dał się słyszeć grzmot, jakby się cały dom walił. W tej chwili cała estrada z krzesłem, skórą tygrysią i wężem zapadła się.

Kazimierz zachwiał się, — a zanim ocknąć się potrafił z przestrachu, dał się słyszeć głos:

„Hrabio Kazimierzu Zamski, zbliż się!"

LXIIIX.

Tak blisko a jednak tak daleko!

Kazimierzowi zimno się zrobiło. A więc w tym domu znano już jego nazwisko, — a on sądził, że go wróżka nie zna. O, ta kobieta przenikała wzrokiem wszystko, — wiedziała o wszystkiem, dla niej nic nie było ukrytego.

„Hrabio Kazimierzu Zamski, zbliż się!" ozwało się po raz drugi.

W tej samej chwili zajaśniało w głębi pokoju matowe światło, — liljową



Anglja jest krajem wielu uświęconych tradycji. Kilkusetletnią przeszłość w Londynie ma zwyczaj uroczystego wprowadzania co roku nowego Lord majora.

barwą powlokła się naprzeciw niego znajdująca się ściana, — przy świetle jej mógł teraz wyraźnie rozpoznawać postać wróżki.

Stała przy małem, żelaznem ognisku, palił się ogień, — a w kotle szumiało, — coś jakby gotująca się woda.

„Hrabio Kazimierzu Zamski, zbliż się", zawołał głos po raz trzeci.

Teraz nie zwlekał już dłużej Kazimierz, — zebrał całą swoją odwagę, — wyprostował się, — i stając na kilka kroków przed wyrocznią, rzekł:

„Jestem, — co mam czynić, o pani?"

„Krwi twojej chcę!" rzekła piękna wróżka". „Nie bój się", rzekła z uśmiechem, „tylko kilka kropelek potrzeba mi! — Oto, mały nóż, — zatnij nim skórę na palcu lub ramieniu, — i upuść spływającą krew do tego kotła".

Kazimierza zdjęła ochota, odejść, — wydało mu się to wszystko komedją, — i gdyby nie pragnienie ujrzenia oblicza w obrazie ukochanej Anielci, — byłby niezawodnie ten dom opuścił.

Wróżka wcisnęła mu mały nóż do ręki. Ostrym końcem tegoż Kazimierz pociągnął po drugim palcu lewej ręki, — krople krwi, które wystąpiły, strzepał do kotła.

„Dobrze, — teraz cofnij się!" — rozkazała wróżka.

Chmury wydobywającego się dymu zgęstniały, — woda szumiała coraz głośniej, z ogniska strzelały płomienie, — wielkie, fantastyczne chmury zapelniały pokój.

Kazimierz zaledwie odróżniał postać wróżki, — jeszcze tylko kontury jej kształtów we mgle były widzialne — odurzający dziwny jakiś zapach pętał mu zmysły.

Oddychał głęboko i długo, — jakieś radosne uczucie owładnęło nim, czuł bicie własnego serca, — błogość przepełniała pierś, a wraz z nią potęgowała się w nim energja, — czuł, że w tej chwili odważyłby się na wszystko, — energja czynu rozbudziła się w nim.

Na przeciwległej ścianie zarysował się pas świetlny. Rósł zwolna, rozszerzał się, — a w końcu przybrał kształty wielkich ram.

Ale między nim, a ramami była mgła, która mu widok przesłaniała.

Ozwały się łagodne dźwięki muzyki, na harmonjum lub organach wykonanej. Tony jej potęgowały się, nabierały siły, a wreszcie zamieniły się w potężne i silne akordy, — jeszcze nigdy tony muzyki nie sprawiły na Kazimierzu takiego wrażenia, co w tej chwili. Czuł się nimi porwany a zarazem podniesiony na duchu.

Z potężnego forte zaszły tony na łagodne piano, — i na tle tej muzyki ozwał się głos wróżki:

„Jeżeli spisz snem wiecznym pod ziemią, — spoczywaj i nadal, biedny duchu! Nie chcę cię budzić do życia, nie chcę przywracać do światła dziennego, bo błogo temu, co się z tem życiem pożegnał i w krainie śmierci znalazł wieczne zapomnienie. — Jeżeliś jednak jest jeszcze na ziemi, — jeżeli płyniesz po falach życia, — potrafisz dzielić nasze uczucia i nadzieje — — natenczas pokaż się, gdziekolwiek jesteś, — ukaż się oczom, które spragnione twego widoku, z tęsknotą cię oczekują. — Kochanek twój woła cię, — jeżeliś kiedy również dla niego miłość odczuwała, — jeżeli biło kiedy twe serce dla niego, — i tęsknisz także może za nim, — ukaż mu się, choćby tylko w obrazie! — Miłość woła cię! — pokaż się, pokaż się, pokaż się!"

Błyskawica przebiegła po ścianie, — we wszystkich kątach pokoju poczęło szumieć, jakby powódź się do niego wdzierała, — głuchy huk i podziemne groźne warczenie, — zdawało mu się, że dom się cały wali. Nagle nastała cisza, nagła jakby pod podmuchem wichru znikła, — a w następnej chwili dał się słyszeć krzyk z piersi Kazimierza:

„Anielciu, — Anielciu, — moja najdroższa, — tyś tutaj! — tak, tak, — to ona, — mam ją napowrót!"

Upadł na kolana. I na kolanach klęcząc spoglądał z miłością i uwielbieniem na tę uroczą postać, która się jego oczom przedstawiała, — patrzał na obraz Anielci.

Był to rzeczywiście tylko jej obraz, — lub też ona sama?

Któżby mógł to rozróżnić, — kto mógł by mu powiedzieć, czy ta nadobna dziewczyna, w pojedyńczym, domowym stroju tem ponętniej jeszcze wyglądająca, rzeczywiście żyje?

Że to było Anielcia, — nie było najmniejszej wątpliwości! Cała jej postać, rysy twarzy były tak wyraźne, tak jasne! Tak, to jego bogini leśna, pochylona nad stoliczkiem, ze spuszczoną główką róże w rękach trzymając. — Był to jednak tylko obraz, cień, fata morgana, złudzenie optyczne, lub też żyjąca istota z ciałem i krwią, — z bijącem tęsknie sercem, — pełnem nadziei, miłości?

Kazimierz nie silił się nawet na rozwiązanie tej zagadki, — on przestał

całkiem myśleć, wątpić, zastanawiać się, — on patrzał tylko i — kochał.

Nie mógł nasycić się jej widokiem, — widokiem tej dziewczyny, którą kiedyś trzymał w swoich ramionach, — drżenie przebiegało jego postać, — było mu błogo i żałośnie, — błogo, że mógł na nią patrzeć, — smutno, bo bał się, że lada chwila postać zniknie, — on radby patrzeć na nią, choćby wieczność całą.

„Tylko to nie, — byleby tylko nie zniknęła! — O postaci rozkoszna, — tłumiona miłość całą potęgą wydobywa się na jaw, — jak ja cię miłuję, teraz czuję dopiero, — tylko nie odchodź odemnie! O, cobym dał za to, gdybym cię tak teraz mógł pochwycić w swoje ramiona i do mych piersi przycisnąć! — Anielciu, moja złota, — czyż nie poznajesz mnie?“

Takie w myśli przystrojone uczucia po jestestwie jego przebiegały.

Kazimierz nie odważył się ani słowa ze siebie wydobyć, bo drżał na myśl, że tonem swego głosu mógłby to zjawisko od siebie odpędzić.

Słowa, które mu wybiegały na usta, powstrzymywał, zawracał w głąb swej duszy. Ale czego nie wypowiedział, to zato czuł tem bardziej, — przebiegał całą skalę rozkoszy miłosnych.

Dotychczas postać Anielci pozostawała w spokoju. Lecz w tem, — Kazimierz zadrżał, — podniosła głowę, przeszła przez mały pokój, na obrazie, — przystąpiła do okna, — otwarła je, — wyjrzała przez nie, — złożyła ręce, — i patrzała ku Niebu, tak tęsknie, tak nabożnie, jakby łaski wybłagać chciała dla swojej miłości.

I piękną była, — nadziemsko piękną w tej chwili. Na twarzy jej rozlany był dziwny jakiś spokój, — rysy twarzy wyanielone. Bo i cóż jest na ziemi piękniejszego i podnioślejszego jak widok modlącej się dziewicy?

Anielcia odstąpiła od okna, — jej usta poruszały się, — Kazimierzowi zdawało się, jakby jego imię szeptały.

Tu już nie mógł zapanować dłużej nad sobą, — zerwał się na równe nogi, — chciał przebiec przez tę mgłę, która go od najdroższej dzieliła, — ale w tem padł, jakby piorun z trzaskiem u nóg jego, — grzmot rozległ się nad jego głową, — napół ogłuszony zatoczył się w tył, — a gdy oczy napowrót otworzył, znalazł się na krześle a przed nim stała wróżka.

Kilka minut trwało, zanim Kazimierz przyszedł na tyle do siebie, że zdołał zdać sobie sprawę z tego, co zaszło.

Przedewszystkiem stwierdził, że znajdował się w tym samym pokoju jeszcze, w którym go pani Gautier przyjmowała, — tam, gdzie obraz Anielci oglądał. A więc to nie był sen!

„O, pani“, przemówił Kazimierz ze łzami, — wzruszenia, które go opanowało, nie mógł już powstrzymać, — „com ja widział! — Tak, — pani masz władzę, jakiej żaden ze zwykłych śmiertelników nie posiada, — pokazałaś mi Anielcię, mój ideał najdroższy, mego anioła ziemskiego, — i to nie był obraz tylko, com widział, bo ona poruszała się, — widziałem blask jej oczu, — zdawało mi się nawet, że jej usta imię moje wymawiały“.

„Widziałeś tylko obraz“, odrzekła wróżka, — „a właściwie mówiąc, miałeś tylko widzenie“.

„Pani! ja panią proszę, błagam i zaklinam na wszystko, co ci drogie, powiedz mi szczerze, — czy to tylko była mara, — czy rzeczywistość? — To niepodobna, by złudzenie mogło być tak wielkie i tak silne! A zresztą, gdyby to sam obraz był tylko, nie mogłaby się poruszać! — Zamiast, by otrzymać od pani rozwiązanie zagadki mego życia, napotykam na nową tajemnicę“.

Życie ludzkie pełne jest zagadek“, rzekła pani Gautier, „a my ludzie przechodzimy codzień koło najrozmaitszych tajemnic, nie zważając na nie. — Dowiodłam ci, panie hrabio, że dziewczyna, którą kochasz i, której los ci na sercu leży, żyje jeszcze. Nie rozpaczaj więc, — pewnego dnia znajdziesz ją“.

„Pewnego dnia, — słaba to pociecha! I naprawdę nie może mi pani powiedzieć, gdzie mam Anielci szukać?“

„To, czego nie wiem, powiedzieć nie mogę“.

„Czy jest w Paryżu?“

„I tego nie wiem!“

„To może pani przynajmniej wie, jak się jej powodzi, — w jakiem otoczeniu żyje? O pani, żądaj odemnie, czego tylko chcesz, — jam bogaty, nawet bardzo bogaty, — wynagrodzę cię po książęcemu, — tylko daj mi odpowiedź, jaki jej jest los, — jeżeli potrafisz, daj mi wskazówki, gdzie jej mam szukać“.

„Niech ci panie hrabio na dzisiaj to jedno wystarczy, że Anielcia żyje“, odparła wyrocznia, „wszak pan przyjdziesz znowu, — a wtedy dowiesz się pan więcej. — Tymczasem nie zapominaj pan, com przedtem powiedziała, — kobieta, z którą jesteś związany, jest fałszywą i obłudną! Uważaj, by z jej strony życie twoje i honor nie ponosły szwanku!“

Kazimierz jęknął, — otarł chustką pot z czoła i zawołał:

„Nowa zagadka! Pani niewątpliwie masz na myśli moją żonę? To prawda że jej nigdy nie kochałem, a przynajmniej nie tak, jak mąż żonę kochać powinien. Ale mimo to żadnego zarzutu przeciw niej podnieść nie mogę. Ona jest zacna, — szlachetna, — i warta jest miłości dzielnego człowieka“.

„Tak pan sądzisz“, rzekła wróżka podniesionym nagle głosem, „a gdy panu coś wprost przeciwnego udowodnię, mia nowicie, że pańska żona jest nikczemną kobietą!“

Kazimierz cofnął się o krok w tył, — zmierzył gniewnym wzrokiem stojącą przed nim panią Gautier i rzekł chłodno:

„Jak pani śmiesz obrażać moją żonę? Jeżeli miłości mojej nie ma, na każdy sposób posiada mój szacunek, i nie zniosę, by w mojej obecności do tego jeszcze — wyrażała się pani w ten sposób o kobiecie, która daleko wyżej ponad nią stoi i której imienia, najlepiejby było, gdyby pani nawet nie wymawiała.“

Drwiący śmiech pani Gautier był odpowiedzią na te słowa.

„Sądzisz pan naprawdę, że żona pańska tak wysoko nademną stoi? — Kiedy tak, to otworzę panu oczy! Ale nie dziś jeszcze, — za trzy dni. Za trzy dni przedłożę panu dowody na to, żeś się pan, panie hrabio, z niegodną siebie ożenił. Przyrzeknij mi pan narazie aż do tego czasu nic nie wspominać przed pańską małżonką o dzisiejszej pańskiej wizycie u mnie, — ani też dać jej do poznania, że się pan o niej coś uwłaczającego dowiedział. Ale przysięgam panu, — i słowem mojem ręczę, że za trzy dni odwróci się pan od tej kreatury, która dziś dumnie nosi nazwisko hrabiny Zamskiej.“

Gniewnym ruchem ręki przerwał Kazimierz potok jej słów.

„Dosyć tego, moja pani, — ubolewam nad tem, że wogóle progi tego domu przestąpiłem. Widzę, że zależy pani nad tem, by żonę moją w moich oczach poniżyć, ale wiedz o tem, że przed podobnemi napaściami potrafię ją obronić.“

„Nieszczęsny, chroń się sam, bo żmiję pieścisz na swoich piersiach! Ale ja nie dam panu zginąć od tej trucizny, której jad od tej kobiety się sączy. Celu swego dokonam, bądź pan tego pewny i ochronię pana, choćby wbrew własnej pańskiej woli. Zapamiętaj pan te słowa, mówi ci to pani Gautier, która przedtem inaczej się zwała.“

„Ja znów zapewniam panią, że zaufania mego do żony nikt i nic podkopać nie będzie w stanie. Jestem arystokrata i podobnych, brudnych, z niskich motywów pochodzących oszczerstw nie słucham. Bądź pani zdrowa. Żegnam!“

Kazimierz odwrócił się, — a chociaż mrok zalegał pokój, spiesznym krokiem oddalał się ku drzwiom.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

UZUPEŁNIANKA
 uł. Ir. Wiechujówna

1.	N	a						1. Środek odurzający
2.		n	a					2. Zagadka
3.			n	a				3. Materjał wybuchowy
4.				n	a			4. Imię męskie
5.					n	a		5. Seminarjum duch.
6						n	a	6. Ciecz

PRZEKŁADANKA LITEROWA
nad. I. W.

Podane odcinki tak przestawić, aby można było odczytać znane przysłowie.

e	r	z
i	u	n
b	a	b
a	y	b
i	y	r
r	a	k

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 25 października b. r.

Rozwiązanie zadań z nr. 40 „Moich Powieści“ oraz przyznanie nagród w następnym numerze.

H-U-M-O-R

Vendetta.

Dyrektor pewnej krajowej wytwórni filmowej goli się stale w eleganckim zakładzie na Krakowskiem Przedmieściu.

Któregoś dnia fryzjer mydląc twarz potentata, oznajmił uprzejmie:

— Pędzelek, którym mydlę szanownego pana pochodzi z firmy „Szczecinopol"...

— Aha — mruczy obojętnie dyrektor.

— Mydełko marki „Pims".

— Hm! — burknął zniecierpliwiony klient.

— Brzytewka z firmy „Golonka i syn"...

— Mniejsza o to!

— Lustro z firmy „Dyndałło".

— Mój panie....

— Serwetki prane przez Agnieszkę Tłuczek — ciągnie fryzjer. Puderek z fabryki „Dobrolin".

— Do pioruna — ryczy dyrektor — cóż mnie to wszystko obchodzi?!!!

— A właśnie! — woła fryzjer. — To samo jest z pańskiemi filmami. Co mnie obchodzi, kto kręcił korbką, kto robił dessous bohaterki, kto dostarczył kanapę, kto jest asystentem młodszego zastępcy reżysera itd. itd.

Na lekcji religji.

Nauczyciel objaśnia siódme przykazanie.

— Stasiu, jeżeli zabierzesz Józiowi z teczki kawałeczek placka, co wtedy zrobisz?

— Zjem go szybko, żeby Józio tego nie zauważył.

Aby wypadło naturalniej.

— Panie dyrektorze, dlaczego pan rolę Desdemony przydzielił takiej dyletantce?

— Ona jest żoną artysty, który gra Otella. Przypuszczam więc, że scena uduszenia jej wypadnie naturalniej.

Wytłumaczył.

— Słuchajno, Janie — mówi do męża żona — gdzie masz te 100 zł, coś wziął na jarmarku za wieprzaka?

— Ano widzisz — pieniądz jest okrągły. to tak: złoty tu, złoty tam, za 20 złotych miałem ci kupić chustkę — no i... po pieniądzach.

W szkole.

— Kto z was, chłopcy, powie czem mógł się zajmować Noe podczas pobytu w arce?

Podnosi rękę Józio z ostatniej ławki:

— Mógł się zajmować łowieniem ryb na wędkę.

— Owszem, dobrze. Rzeczywiście mógł się zajmować łowieniem ryb.

Na to podniósł rękę Michaś, sąsiad Józia:

— A ty, co powiesz?

— Mnie się tylko zdaje, że Noe mógł zajmować się łapaniem ryb w arce wszystkich stworzeń po parze, a na dwie glisty to niewiele ryb można złapać.....

Skromna sługa.

— Dziękuję pani za służbę — mówi Marysia — a miałabym do pani jeszcze maleńką prośbę.

— No, cóż takiego?

— Idę dziś godzić się do nowej służby — czy nie byłaby pani łaskawa pożyczyć mi swego kapelusza, bo mój zabardzo elegancki.

Rozczarowanie.

Pani Szczypawska jest wyjątkowo gospodarną kobietą. Potrafi ona nietylko przygotować podczas lata zapasy różnych konfitur, ale na każdym słoiku umieszcza odpowiednie napisy. Naprzykład na słoiku z konfiturami truskawkowemi umieściła następujący napis:

Usmażono dnia 15 lipca 1935 r.

Szczypawska.

Pewnego dnia przyszli goście. Pani Szczypawska, chcąc się pochwalić swemi wyrobami, zamierza podać na stół wyborowe konfitury truskawkowę, lecz jakie było jej zdumienie, gdy zastała w spiżarni pusty słoik, a na nim dopisek:

„Wylizano dnia 4 września 1935 r.

Staś Szczypawski.

Zna siebie.

— Ależ, człowieku, ty pijesz wódkę, jak wodę!

— O nie! wody bym tyle nie potrafił wypić.

Złota rybka.

Właściciel sklepu kolonjalnego w jednem z miast prowincjonalnych, pragnąc zwrócić uwagę przechodniów na swój sklep, umieścił na wystawie spory basenik szklany, w którym pływała piękna złota rybka. Po paru dniach kupiec zmęczony dawaniem odpowiedzi na ciągłe pytania ciekawych, zawiesił nad basenem kartkę następującej treści:

„Tak, to jest złota rybka. Żywa. Nie do sprzedania. Mam tylko tę jedną. Dostałem w prezencie. W wodzie. Nie wiem kiedy śpi Ani ile ma lat. Ani jak długo jeszcze będzie żyła. Nie gryzie. Nie może wyskoczyć. Je to, co dostaje. Gdy zdechnie, nie mam zamiaru kupić drugiej".

Kryzys.

Właściciel biura zastaje nad ranem włamywacza, porającego się z kasą pancerną.

— A to pysznie! — śmieje się ubawiony właściciel. Dawno już nie widziałem prawdziwego dowcipnisia. Masz młodzieńcze nadzwyczajne poczucie humoru.

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Kaycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.